Rok I. **Wrzesień 1916.** **Nr. 7.**

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ:

Prenumerata za jedno półrocze kor. 9. — Cena numeru pojedynczego 2 korony (2 marki). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. — Czek P. K. O. 139.429.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo w Warszawie: Księgarnia Gebethnera i Wolffa — na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

Redakcya otwarta w czwartki od godz. 5—6 popoł., ul. J. Dunajewskiego 1, I. p.

Rok I. Wrzesień 1916 r. Nr. 7.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POSWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

Granice państwa polskiego.

Państwo polskie posiadało przeważnie naturalne granice. Trudno bowiem nie uważać za takie Karpat strzegących potężnym wałem południowych województw, Dniepru jako trudnej do przybycia rzeki dla sąsiada wschodniego, Dźwiny nie stanowiącej wprawdzie granicy, ale stanowiącej przeszkodę w posuwaniu się nieprzyjaciela od północy, wreszcie morza bałtyckiego.

Najłatwiejszą do przejścia była granica zachodnia, cofnięta przed wiekami poza naturalną granicę górską i rzeczną wskutek błędów wewnętrznej polityki i słabości książąt śląskich, z wyradzającej się dynastyi piastowskiej. Ale i tu nie brakło mniejszych rzeczek i bagien sposobnych do wyzyskania, gdy na kresach naddniestrzańskich szły obrońcom w pomoc bezludne stepy i głęboko płynące strumienie podolskie lub szeroko wśród podmokłych brzegów rozlane rzeczki ukraińskie.

Pierwszym rozbiorem krzywdziła najmniej państwo polskie Rosya. Zajęła bowiem obszary położone przeważnie za Dźwiną, najmniej naówczas uświadomione, oświatowo i kulturalnie najsłabsze. Gdzie zabór poszedł drogą lądową, usypano nawet wcale wysokie szańce graniczne. Srożej zaciążył nad pozostałą całością zabór pruski, jako odbierający jej rubieże nadbałtyckie z wyjątkiem Gdańska, a nadto część odwiecznego, rdzennego a prędko skolonizowanego obszaru wielkopolskiego.

Zabór austryacki był również klęską nie do powetowania. Odebrał bowiem państwu polskiemu całą granicę południową,

chroniącą od zarania dziejów ziemie rdzenne, historyczne, bogate, jak południowa część województwa krakowskiego i sandomierskiego, pełne bohaterskich wspomnień województwo ruskie i bełzkie. Wyglądało to groźnie dla reszty, do której wiodła opanowana częściowo linia Wisły i sucha granica lądowa. Gdyby nawet nowe zabory nie nastąpiły, państwo pozbawione granic naturalnych, związane gwarancyami zewnętrznemi, wystawione na zwalczające się wzajemnie wpływy obce szło, mimo wewnętrznych reform i wzmagającego się poczucia obywatelskiego, ku przyszłości niepewnej i chmurnej.

By je uchronić od dalszego cofnięcia granic, albo wprost upadku, należało prowadzić ostrożną, neutralną, świadomą celu politykę zewnętrzną a na wewnątrz przeprowadzać reformy nie budzące niczyjej podejrzliwości a uznane przez wszystkie mocarstwa rozbiorowe. Niestety dyplomatom tych mocarstw nie przeciwstawiono należycie uzdolnionych własnych, również na zewnątrz czyniono nie zawsze dojrzałe doświadczenia reformatorskie, do których dołączał się nieuleczalny optymizm, partyjne zacietrzewienie, nieposkromione gadulstwo, przerażająca słabość charakterów.

Drugi rozbiór był wynikiem współzawodnictwa dwóch mocarstw rozbiorowych, których ani chwilowej słabości, ani sprzecznych interesów nie umiano wyzyskać mimo ostrzeżeń najwybitniejszego polskiego statysty przed Wielopolskim, Staszica. Z nich Prusy zajęły, jeszcze przed zawarciem traktatu rozbiorowego, Toruń i rdzenne ziemie wielkopolskie po Częstochowę, rdzenne a teraz graniczne obszary kujawskie z Gdańskiem, nadto płockie i część rawskich i mazowieckich. Rosya przecięła na połowę terytoryum litewskie mniej więcej na linii obecnego północnego frontu bojowego, zabierała także województwa podolskie i kijowskie oraz część wołyńskiego. Okrojone, rzekomo z powodu jakobinizmu, w ten sposób państwo traciło żywotne części zachodnie, nie miało też granicy od wschodu, choć zatrzymywało jeszcze katolickie obszary białoru-skie i silnie związane z resztą religijną unią części żywiołu mało-ruskiego. Trzecie mocarstwo nie protestowało przeciw temu okrojeniu, choć samo w niem udziału nie brało.

Ostatni rozbiór przypomina obecną linię bojową, choć zabór rosyjski poszedł już biegiem średniego Bugu, potem linią prosto do Grodna, wreszcie biegiem Niemna. I teraz więc nie dotknął ziem rdzennych, które rozdarł bezlitośnie kordon pruski i austrya-

cki. Zmieniono wtedy nazwy poszczególnych części kraju, by zatrzeć nawet odwieczne imię całości. Istniały odtąd Stara i Nowa Galicya, Nowy Śląsk i Prusy Południowe, Gubernia Izasławska i inne podobne nowotwory historyczne.

Dopiero zabiegi Czartoryskiego na dworze rosyjskim, obok których położyły ogromną zasługę wysiłki polskich legii, protestujących czynnie przeciw rozbiorom, doprowadziły do utworzenia głównie z zaboru pruskiego państewka, stanowiącego, ze względu na granice, jakby czwarty rozbiór ziem polskich. Zatwierdzono niem bowiem pierwszy rozbiór, o ile chodziło o zabór austryacki, zatwierdzono niem przeważnie i drugi, o ile chodziło o zabór rosyjski, któremu przydzielono w dodatku rdzennie polski obwód białostocki. Tego państewka przezwanego również na przekór historyi Księstwem Warszawskiem, broniły przecież twierdze Toruń, Modlin, Praga, Częstochowa. Powiększone po wojnie otrzymało ono jeszcze drugi zabór austryacki z Krakowem i Zamościem. Ale Rosyi oddano Tarnopol i Zbaraż, zgodzono się też na zatrzymanie Galicyi przy Austryi, a Litwy, w której żyły jeszcze tradycye przynależności państwowej, przy Rosyi.

I pierwsze zdobycze pruskie wraz z Gdańskiem pozostały oddzielone od napoleońskiego nowotworu. Takim nowotworem, który, ze względu na sztuczne granice, może być nazwany piątym rozbiorem, było też związane, z woli mocarstw rozbiorowych, z Rosyą, pseudopaństewko zwane Królestwem Kongresowem. Odebrano mu bowiem, znów ku pogwałceniu praw narodowych, okręgi poznański i przeważnie dziś skolonizowany bydgoski, odebrano mu starą stolicę Kraków, by uczynić z niego gniazdo potrójnego serwilizmu. Oddzielono je granicą celną od Litwy i Rusi, polityczną od Galicyi. Co prawda, otrzymało owo pseudopaństewko nazwę polskiego, choć kłuło ono mocno ówczesnych aneksyonistów w każdem z mocarstw rozbiorowych. Ze względu na granice było ono tylko resztą państewka napoleońskiego, pozbawioną granic naturalnych i wydaną na łup armii idących z zachodu lub wschodu. I znów obwód białostocki pozostał przy Rosyi, o Gdańsku nawet wspomnieć nie pozwolono, Tarnopol i Zbaraż wróciły ponownie do Austryi. Perła kopalń polskich, Wieliczka, znalazła się również za kordonem austryackim.

Stuletni okres czasu, pełen złud i rozczarowań, stwierdził jednak nad wszelką wątpliwość niezniszczalną tężyznę narodową,

kulturalną, ekonomiczną ziem rdzennych od Gdańska i Białego Stoku do Krakowa i granic południowych. Co więcej, ta niezniszczalna tężyzna potrafiła promieniować jeszcze na utracone w średniowieczu rdzenne obszary śląskie, rubieże pomorskie, kazimierzową dzielnicę ruską, zjednoczone wiarą i językiem obrzędów strony białoruskie. Już nie naród szlachecki, posądzany niegdyś przez obcych i swoich o anarchię, jest rozstrzygającym żywiołem na piastowskich dziedzinach, ale lud uświadomiony wraz z inteligencyą najwięcej tam, gdzie najsilniej występuje kolonizacya.

Przyszłe państwo polskie określają tedy ze względu na granice, czynniki naturalne. Obok czynników fizycznych, za jakie należy uważać morze, góry, rzeki, bagna, są nimi i czynniki moralne: wiara, język, poczucie narodowe, wspólność szczepowa, zgodnie nie tylko z historyą, zbyt jednak, jak okazała przeszłość, nadużywaną do celów nic z prawdą nie mających wspólnego, ale i z tolerancyą, postępem, demokracyą, kulturą, na które często powołuje się publicystyka wszelkich odcieni. One okazały się nawet pewniejszymi od fizycznych w dzisiejszym epokowym przełomie. Tradycya miecza lub dyplomatycznej intrygi nie może dziś krajać terenów z obcą ludnością, bo nad nie silniejszymi są czynniki moralne, lekceważone dotąd przez największych, ale duchem reakcyjnej tradycyi owianych polityków. W każdym razie takie usiłowania, które nie uwzględniają całości narodu, które chcą jego pełny byt zamknąć w jednej tylko dzielnicy są zawodne, wszelkie twory państwowe, oparte na tem założeniu, nie wytrzymują próby dziejowej. W obecnem przesileniu naród ma prawo oczekiwać, że doczeka się rozwiązania kwestya polska, niezamykająca się w granicach podobnych do tych, jak te, które zakreślił jej Napoleon lub Kongres roku 1815.

Tadeusz Grabowski.

Z doświadczeń galicyjskiego samorządu miejskiego.

Powszechną jest nadzieja, że Polska zacznie żyć pełniejszem, niż dotychczas życiem. Większe jednak swobody nasuwają konieczność pokonania zadań, których nie znaliśmy zupełnie, albo które znała tylko jedna dzielnica, bardziej szczęśliwa pod względem ustroju, to jest Galicya. To też na ten kraj zwrócone będą oczy całej Polski. Ze słusznością będzie się można domagać, by prowincya, która korzystała od pół wieku z samorządu krajowego i lokalnego, dostarczyła materyałów do szerszej budowy państwowego życia. Trzeba będzie korzystać zarówno z pomyślnych doświadczeń Galicyi, jak i unikać błędów, które tutaj popełniono. Naturalnem więc jest pytanie, z którem inne dzielnice, mniej szczęśliwe pod względem prawnopaństwowych warunków bytu, zwracają się do Galicyi: o ile ona skorzystała w pełni z większej możności rozwoju, o ile wyzyskała dla dobra narodu wszelkie swobody konstytucyjne i własne instytucye samorządne?

Odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudna, nieda się jej streścić w krótkim, lapidarnym sądzie. Trzebaby w tym celu przejść wszystkie dziedziny życia społecznego w Galicyi, zbadać je szczegółowo, odróżnić, co jest winą lub zasługą ludności polskiej, a co trzeba złożyć na zewnętrzne okoliczności. Na tej podstawie można dopiero zestawić bilans strat i zysków gospodarki samorządnej. Ogólnikowymi sądami nie rozstrzygnie się tej sprawy. A tymczasem właśnie obecnie wypowiada się zbyt wiele bezwzględnych zdań, które tłómaczą się może partyjno-dzielnicowemi namiętnościami, brak im jednak istotnych podstaw. Opinia publiczna Królestwa Polskiego i dzielnicy pruskiej, podrażniona demagogicznemi

usiłowaniami pewnych sfer galicyjskich, które chciały tamtym dzielnicom narzucić własną politykę, zwracała się nieraz ze zrozumiałą niechęcią przeciw Galicyi, identyfikując niezupełnie słusznie, całe życie społeczne i polityczne tego kraju z zewnętrznem, w części przypadkowem jego przedstawicielstwem. Natomiast czynniki w Królestwie, które sprzyjały polityce galicyjskiej, przeniosły swoje sympatye, w sposób nie dość krytyczny, na całe życie galicyjskie, wielbiąc bez zastrzeżeń objawiający się w niem rozum stanu, zmysł organizacyjny, ceniąc wysoko wszelkie przejawy rozwoju społecznego tego kraju.

Z takich uogólnień nie wielki przyjdzie pożytek. Zamiast nich zadajmy sobie konkretne pytanie, jaki jest stan rzeczy w pewnej ściśle określonej dziedzinie. W ostatnich czasach uwaga publiczna skierowała się ku samorządowi miejskiemu, a to z powodu znanych, smutnych zajść w krakowskiej Radzie miejskiej. Jaskrawe postępki, które wywołują tak silny protest, nie są niespodzianką dla ludzi, obeznanych jako tako z stosunkami, panującymi po miastach galicyjskich. O ile bowiem samorząd krajowy, mimo wielu niedomagań, może w niejednym kierunku pochlubić się poważnymi rezultatami, o tyle samorząd gminny stanowi ciemną kartę w rozwoju tak zw. „autonomii galicyjskiej“. Przed pięćdziesięciu z górą laty wielkie nadzieje pokładano we wprowadzeniu w życie nowożytnej ustawy gminnej. Nadzieje te, przynajmniej w Galicyi, nie spełniły się, i dziś potrzeba reformy samorządu występuje z coraz większą siłą. Samorząd gminny nie stał się szkołą życia obywatelskiego. Jako organ administracyi państwowej okazał się nieudolnym, przyswoił sobie ujemne cechy gospodarki biurokratycznej, bez jej zalet. Stracił też swoją popularność u ludności, która nie zawsze entuzyazmuje się tem, że na jej czele stoi albo niedołężna albo kłótliwa albo tolerująca nadużycia jednostek Rada gminna. Najlepszem tego świadectwem jest stosunkowo bardzo wielka liczba Rad gminnych, rok rocznie rozwiązywanych przez pobłażliwe zresztą władze, na miejsce których wprowadza się Komisarzy rządowych.

Jest rzeczą nader charakterystyczną a zarazem bardzo smutną, że ludność takie fakty przyjmuje obojętnie, niekiedy nawet z uczuciem ulgi.

Przyczyny tego stanu szukać trzeba przedewszystkiem w samym ustroju gminy. Ustrój ten jest nawskroś wadliwym, co do

tego godzą się niemal wszyscy. Powstał on po r. 1860, w okresie konstytucyjnym, z jednej strony jako dzieło doktryny, która chciała w gminie widzieć zupełnie niemal niezależny i samodzielny organizm, z drugiej jako rezultat walki między centralistycznym rządem, a dążeniami autonomicznemi, reprezentowanemi przez różne narodowości Austryi. Niechętne rozwojowi władzy centralnej, dążyły one do uzyskania jak najszerszego ustroju dla czynników lokalnych, między innemi i gminy; natomiast rząd nie chciał wielu żądań lokalnych, mających jednak znaczenie państwowe, powierzać mniej zależnemu od niego samorządowi. Rezultatem tego tarcia był kompromis, który polegał na odróżnieniu dwóch zakresów działania: własnego i poruczonego, i w konsekwencyi całą budowę administracyi oparł na dualizmie władz autonomicznych i rządowych. Gmina ma większą swobodę co do spraw, zaliczonych do własnego zakresu działania, i w tym zakresie podlega nadzorowi wyższych ciał autonomicznych. Sprawy poruczone załatwia na zlecenie i pod nadzorem ściśle państwowej administracyi.

Wielu znawców samorządu gminnego krytykuje bardzo ostro podział na sprawy własne i poruczone, uważając go za nienaturalny, sprzeczny z istotą samorządu, przez który rozumie wykonywanie wszystkich funkcyi publicznych w lokalnym zakresie przez miejscowe, obywatelskie czynniki. Jest to spór natury teoretycznej, którego możemy tu nie poruszać, wystarczy stwierdzić fakt, że ten dualizm spraw i władz rządowych i autonomicznych okazał się tutaj fatalnym. Najpierw bardzo często zjawiają się wątpliwości co do tego, do jakiego zakresu należy dana sprawa i pod tym względem nawet znawcy prawa gminnego są nieraz w kłopocie. Co ważniejsza, ten dualizm władz okazuje się zbyt ciężkim i kosztownym, jedna władza niejednokrotnie krępuje drugą, zamiast jej pomagać. W ostatecznym rezultacie autonomiczne władze powiatowe i krajowe są bezsilne w porównaniu z władzami rządowymi, nie mając ani należytych środków materyalnych, ani egzekutywy, nie mogły sobie wyrobić tego stanowiska, które powinno im przypaść w społeczeństwie, jako władzom naprawdę rodzimym. Gmina we własnym zakresie działania okazała się całością nieraz zbyt wszechwładną, a władza wyższa nie zawsze była w stanie rozszerzyć nad nią należytą kontrolę. Niejednokrotnie popełnione nadużycia uchodziły bezkarnie, albo też represya była zbyt słabą, by je do gruntu wykorzenić. Koterye, rządzące miastami i miastecz-

kami w dość licznych wypadkach miały wszechwładzę, na której samowolę nie było ratunku. Zdarzały się dość często przypadki jaskrawego nepotyzmu, korzystanie z mandatu radzieckiego dla własnych materyalnych korzyści.

Pozostaje to również w związku z ordynacyami wyborczemi do Rad gminnych. Są one różne dla różnych typów gmin: osobne dla miasteczek, dla miast, nadto odrębne dla obydwu stolic kraju. Wspólnym im wszystkim momentem jest to, że biorą one za punkt wyjścia kryterya podatkowe, pewien census majątkowy, a nie zabezpieczają należytego wpływu inteligencyi zawodowej, dopuszczając do jej majoryzowania przez tych, których jedyny tytuł stanowi siła gospodarcza. Przytem wyborcy podzieleni są nieraz na drobne koła i kurye, którymi rządzą nieliczne grupki osób, dbałych o to, by nadać miejskiej polityce kierunek, zgodny z własnymi interesami, zawodowymi i osobistymi.

Przedewszystkiem jednak olbrzymią rolę odgrywa tu ludność żydowska. Biorąc procentowo, stanowi ona niemal wszędzie mniejszość ludności miejskiej. Ale wpływ żydów w miastach jest o wiele większy, niżby to wypadało według stosunku ludności żydowskiej do polskiej. Naprzykład w mieście Krakowie Żydzi stanowią obecnie niespełna jedną czwartą ludności — a mimo to przy wyborach do Rady miejskiej są oni wszechwładnym czynnikiem. Kraków nie jest pod tym względem wyjątkiem. Żydzi jednak są zbyt sprytni, by nominalnie uwidoczniać swoją wszechwładzę, by wszystkie stanowiska, od nich zależne obsadzać całkiem wyraźnymi Żydami. Używają nieraz delikatnych osłonek, faktycznie jednak rządzą niemal wszędzie, dając swoje finansowe i wyborcze poparcie tylko takim żywiołom polskim, które godzą się iść im zupełnie na rękę. Rozporządzają oni pod tym względem osobnem stronnictwem, tak zwaną polską demokracyą, z łona której rekrutują się przeważnie burmistrze i inni dygnitarze miejscy.

Żydzi w miejskiej polityce dbają wyłącznie o swoje interesy. Chodzi im o to, by nie dopuszczać do rozwoju jakichkolwiek objawów antysemityzmu. A antysemityzmem jest wszystko: każdy polski handel, który probuje omijać hurtowników żydowskich, każda kooperatywa urzędnicza lub robotnicza, każda polska instytucya kredytowa, która nie pozwala na rozpowszechnianie się lichwy. To też Rady miejskie czuwają nad tem, by niepożądane żywioły nie dostawały koncesyi na przedsiębiorstwa, z jakichkol-

wiek powodów niemiłe dla Żydów, by tych ostatnich nie uciskały zbytnio ciężary podatkowe, by nie wykonywano zanadto skrupulatnie przepisów policyi sanitarnej i przemysłowej, niewygodnych dla „poważnych kupców“. A przedewszystkiem dostawy miejskie — te rozdziela się po bratersku, oczywiście między braci Izraela.

Nie trzeba jednak wszystkiego tłómaczyć tylko prawnym ustrojem gminy i organizacyą prawa wyborczego. Wadliwe prawa mogą nie mieć zbyt ujemnych skutków, jeżeli praktyka potrafi zneutralizować ich braki. Zdrowy organizm społeczny może się rozwijać nawet w ramach złego ustroju. A zresztą jeżeli ustawa gminna okazała się tak fałszywą i błędną, to było dość czasu i sposobności, by ją poddać reformie. Właśnie w zakresie prawa gminnego samodzielność sejmów krajowych jest o wiele większa, niż w innych dziedzinach. A tymczasem przez pół wieku poprzestawano na ciągłych narzekaniach, ale też kończyło się w najlepszym razie na projektach i dyskusyach sejmowych. To też nie podobna przerzucić odpowiedzialności za złe funkcyonowanie samorządu miejskiego na wady ustroju, a społeczeństwa oczyścić z wszelkiej winy. Trzeba wyznać poprostu: nasze miasta w Galicyi nie dorosły do zadań, które na nie włożyły ustawy o samorządzie gminnym.

W miastach tych wygasły dawno tradycye samorządnego życia miejskiego. Galicya, oderwana od Rzeczypospolitej w pierwszym rozbiorze, nie przeszła przez okres wewnętrznego odrodzenia, który przebyły inne dzielnice Polski. Kiedy Warszawa wydawała Dekertów, w miastach galicyjskich panowała martwa cisza. Policyjny system rządów, praktykowany przez niemal cały wiek, nie dopuszczał żadnego udziału ludności miejskiej w wykonywaniu władzy. Od roku 1848 rozpoczął się okres długotrwałego przesilenia konstytucyjnego, którego gorączka objęła i miasta galicyjskie. Społeczeństwem zaczęła wstrząsać żywa polityczna agitacya, która jednak z natury rzeczy zwróciła się ku zasadniczym konstytucyjnym zagadnieniom, natomiast szerokie warstwy ludności nie zrozumiały dostatecznie znaczenia samorządu lokalnego. Zjawiło się rozpolitykowanie, tak wyśmiewane przez Lama i „Tekę Stańczyka“, poczciwi obywatele zapadłych miasteczek galicyjskich obalali ministerstwa, ale nie wiele się na tem rozumieli, co się w około nich dzieje, uważali się nieraz za powołanych do wyższych zadań, a nie do cichej pracy w zarządzie spraw miejskich. Rady miejskie

trudniły się „wielką“ polityką, zabierając głos w ogólno-politycznych zagadnieniach, składając swoje oświadczenia w ogólnych sprawach, darząc obywatelstwem honorowem popularnych polityków parlamentarnych, przeprowadzając agitacyę wyborczą do Rady państwa i Sejmu.

Słowem samorząd nabywał odrazu charakteru politycznego, co odbiło się na nim najgorzej. Jest to bowiem sprzeczne z jego istotą, gdyż powołany jest on do załatwienia tylko miejscowych spraw, a wkraczanie Rad miejskich na szersze wody polityczne tylko szkodliwe przynosi skutki. Ostatecznie i sprawy miejskie są również sprawami politycznemi, ale są to sprawy miejskiej polityki ekonomicznej i społecznej, od której rozpolitykowanie we właściwem tego wyrazu znaczeniu tylko odwraca publiczną uwagę, a w każdym razie niema z nią nic wspólnego.

Samorząd miejski, jak w ogóle każdy samorząd, tylko wtedy pełni swoje zadanie, gdy wśród ogółu interesowanej ludności zdoła rozbudzić żywe zainterosowanie należnym mu zakresem działania. Tylko wtedy, gdy prozaiczne sprawy budżetu miejskiego, rzeźni, oświetlenia i t. p. są sprawami, nieobcemi mieszkańcom miasta, może być mowa naprawdę o samorządzie. Ludność musi do przedstawicielstwa wybierać ludzi, którzy chcą się naprawdę zajmować sprawami miejskiemi. Od Rady miejskiej winna oczekiwać umiejętnej i uczciwej gospodarki, a nie widzieć w niej partyjno-politycznego przedstawicielstwa. Tymczasem w Galicyi bardzo często działo się i dzieje się inaczej. Wszechwładna „polityka“ opanowała i życie miejskie. O wpływy w mieście staczają bój polityczne stronnictwa, które różnią się od siebie ogólnymi partyjnymi programami, nie przeciwstawiają sobie bynajmiej odrębnych programów polityki miejskiej. Chodzi tu o władzę dla samej władzy. Zmienia się czasem zarząd miasta po gwałtownych walkach, ale w zasadniczym kierunku polityki miejskiej nic się nie zmienia. Wtedy więc, gdy zwalczające się grupy mogą przeciwstawić sobie co najwyżej odmienną przynależność partyjną, wtedy walka o rządy miasta staje się jałową, zanika rozumienie właściwego miejskiego samorządu.

Następnie rozpolitykowanie Rad miejskich wpływa ujemnie na ich skład, na kwalifikacye ich członków. Tam, gdzie wyborców miejskich interesują naprawdę sprawy miejskie, gdzie ludność miejska posiada istotnie k u l t u r ę s a m o r z ą d u, tam przy wy-

borach ścierają się różnice zdań co do konkretnych, praktycznych zagadnień miejskich i każda grupa wysuwa ludzi najbardziej do samorządu uzdolnionych. Tymczasem wtedy, gdy dokonuje się wyborów na zasadzie programu partyjnego, do Rady miejskiej wchodzą przywódzcy stronnictw, ludzie w innych kierunkach może bardzo uzdolnieni, którym jednak często zupełnie obce są trudne sprawy miejskiego zarządu. Czują oni potrzebę działania, dlatego używają Rady miejskiej za platformę dla swoich wystąpień politycznych, za teren przygotowawczy do szerszej agitacyi. Bardzo często ludzie ambitni zostają członkami Rad miejskich i obejmują kierownicze stanowiska w mieście w tym celu, by tu poprostu zdobyć podstawę dla dalszej karyery politycznej. Droga do mandatu poselskiego, a nawet do szczytu marzeń galicyjskiego polityka — do teki ministeryalnej, wiedzie bardzo często przez burmistrzowanie. W tych warunkach cierpi bardzo gospodarka miejska. I gdy większość Rady miejskiej złożona jest z ludzi, którzy albo zupełnie nie znają się na sprawach miejskich, albo też zupełnie o nie nie dbają, to wtedy w ich cieniu chowają się i działają w ciszy sprytni spekulanci, którzy na gospodarce miejskiej bezpośrednio lub pośrednio robią dobre interesy. W galicyjskich radach miejskich występuje też bardzo często typ politycznego frazesowicza, zapatrzonego w bardzo dalekie horyzonty, obok zwyczajnego aferzysty.

* * *

Historya się powtarza. Obecnie niemal całe Królestwo Polskie otrzymuje samorząd miejski. Ale nie we wszystkiem historya się powtarza. Społeczeństwo polskie w Królestwie Polskiem dojrzało już dawno do samorządu, rozumie jego znaczenie, widzi w nim naprawdę szkołę pracy obywatelskiej, garnie się z żywiołowym zapałem do pracy. Dało dowód jeszcze przed wojną, w działalności wielu instytucyi społecznych, jak Towarzystwa rolniczego i różnych Towarzystw współdzielczych, w ciągu wojny w owocnej i rozległej działalności Komitetów obywatelskich, zgrupowanych w Centralnym Komitecie, że rozumie doniosłość spokojnej pracy pozytywnej i umie ją skutecznie podejmować. Praca ta rozwija się tak samo w stołecznych miastach, jak i w zapadłych kątach prowincyonalnych, z równem zrozumieniem jej twórczego dla przyszłości znaczenia.

Rozwój samorządu miejskiego w Królestwie w dzisiejszych warunkach napotyka na wielkie trudności. Pominąć można kwestyę prawnej jego organizacyi, gdyż ta, w znikomym stopniu zawisła od społeczeństwa, ma zresztą charakter prowizoryczny. Ważniejsza trudność wypływa z tego faktu, że Królestwo na okupowanem terytoryum nie posiada własnej, szerszej organizacyi społecznej. Stąd zjawiają się próby, by przedstawicielstwo społeczeństwa w samorządzie miejskim przeobrazić niejako w polityczne przedstawicielstwo kraju. Próby te są chybione. Reprezentacya nawet miasta Warszawy nie jest niczem innem, jak tylko reprezentacyą miasta Warszawy i niczem innem niewątpliwie być nie chce. Są żywioły, które radeby z Rady miejskiej zrobić swego rodzaju parlament, ale przypuszczać należy i dotychczasowa działalność Rady miejskiej usprawiedliwia tę nadzieję, że te próby spełzną na niczem.

Zdrowa część opinii publicznej w Galicyi patrzy z entuzyazmem na rozwój życia samorządnego w Królestwie Polskiem. Pozbawiona przywiązania dzielnicowego, chętnie przeciwstawia czyny Królestwa smutnym galicyjskim doświadczeniom. Czyni to w przekonaniu, że Królestwo potrafi ustrzedz się błędów, które w Galicyi skrzywiły rozwój samorządu miejskiego. Co prawda żywioły, które bardzo starannie przenoszą na grunt Królestwa nienajlepsze metody galicyjskie, wysunęły zasadę, że samorząd miejski winien być politycznym organem kraju, zasadę na pozór niewinną, która jednak w Galicyi wydała jak najbardziej fatalne skutki. Niewątpliwie Królestwo skorzysta z galicyjskich doświadczeń i pójdzie dalej drogą, raz już przez siebie obraną.

W. Karniowski.

„Ojcze Nasz“ Cieszkowskiego.

I. Dotychczasowe sądy.

Ojcze Nasz Cieszkowskiego, podobnie jak Prelekcye paryskie Mickiewicza, to jeden z tych utworów naszej literatury romantycznej, o których sądy są i prawdopodobnie długo jeszcze będą bardzo niejednolite; nic bowiem trudniejszego, jak o jednolitość sądu tam, gdzie wchodzą w grę przekonania i uczucia religijne: całe zaś dzieło Cieszkowskiego, od początku do końca, należy nietylko do literatury filozoficznej, mianowicie do historyozofii, ale także — w dużo większym jeszcze stopniu, niż Prelekcye paryskie — do religijnej.

Póki znano jedynie tom pierwszy dzieła Cieszkowskiego (1848), dopóty jego filozofia nie była jeszcze dla wierzących katolików tak ciężkim kamieniem obrazy, jak później, w miarę ukazywania się dalszych tomów. Biskup Likowski w mowie, wygłoszonej na nabożeństwie żałobnem za duszę Cieszkowskiego (1894), na własne pytanie, czy Cieszkowski był katolikiem, odpowiedział stanowczo: tak! Są wprawdzie — mówił Likowski — w pismach jego „zdania i zapatrywania pojedyńcze, o których można powątpiewać, czy się dadzą z prawdami wiary pogodzić“, „ale to nie przeszkadza, aby go mieć za wierzącego chrześcijanina-katolika; założenie, istota, tendencya filozofii jego mimo niewątpliwych w szczegółach zboczeń... były i są katolickiemi; katolickiemi były jego przekonania, uczucia, nadzieje, pragnienia; katolikiem był nietylko z imienia i z tradycyi, ale z wewnętrznego przeświadczenia“ [1]). Podobny sąd wydał prof. Tarnowski i to nietylko w Prze-

[1]) Roczniki Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu, tom XXI., str. 492 i nast.

glądzie prac naukowych Augusta Cieszkowskiego [1]), skreślonym tuż po jego śmierci, kiedy to z dzieła Ojcze Nasz jedynie tom pierwszy był znany, ale jeszcze w części drugiej tomu szóstego swej Historyi literatury polskiej (1907), kiedy to znane już były trzy dalsze tomy: „Wiemy — pisze prof. Tarnowski — że teologia katolicka wykazuje niejedną różnicę między nauką Kościoła a Cieszkowskiego filozofią historyi; ale te różnice (choćby liczne i ważne) nie znoszą ani zmieniają faktu, że jego filozofia oparta jest na Bóstwie i Objawieniu Chrystusa Pana“ [2]).

Wcześnie jednak, bo już we dwa lata po śmierci Cieszkowskiego, zaczęły się odzywać inne głosy. W Przeglądzie powszechnym ukazała się w roku 1896 obszerna rozprawa księdza Koppensa, jezuity, p. t. Ojcze Nasz Cieszkowskiego, wykazująca jasno i wyraźnie nieprawowierność autora już w pierwszym tomie tego dzieła; ale i ks. Koppens nietylko nie przeczy, że zamiary autora były szlachetne (o czem zresztą nikt nigdy nie wątpił), ale nawet przyznaje, że „Ojcze Nasz zawiera bezwątpienia wiele wzniosłych i uszlachetniających poglądów“ [3]). Przyznał to chętnie, nawet po ukazaniu się tomu drugiego (1899), i ks. Hozakowski [4]): Cieszkowski „dziwnym sposobem napada“ „na inkwizycyę kościelną“ (czy to naprawdę tak bardzo dziwne?), „wygłasza zdania, które przynajmniej *errorem sapiunt*“, zajmuje „dziwne... stanowisko w interpretacyi ksiąg objawionych“; ale to wszystko nie przeszkadza ks. Hozakowskiemu nietylko do przyznania dziełu szlachetnej i czystej myśli, ale i do wyznania, że chętnie oczekuje dalszych tomów: z ich wydaniem „posiadać będziemy... wykład Modlitwy Pańskiej, który w literaturze tworzyć będzie na zawsze pomnik ducha, jaśniejącego tak oryginalnością formy, jak głębokością myśli“. Nierównie jednak dalej posunął się ks. Skrzydlewski, w rozprawie p. t. Kwestya socyalna w Ojczenaszu Augusta Cieszkowskiego, umieszczonej w Przeglądzie Kościelnym r. 1902. Wyraża się tutaj autor z nietajonym zachwytem o dziele Cieszkowskiego, mówiąc nie mniej

[1]) Tamże.
[2]) Str. 283—284.
[3]) Tom III, str. 403.
[4]) Ob. broszurę p. t. Ojcze Nasz (Wezwanie), Tom II (odbitka z Dziennika Poznańskiego r. 1900).

ani więcej, tylko tak: „W Ojczenaszu mamy my, Polacy, rodzimą... próbę wysiłku myśli..., dążącego do tej upragnionej harmonii wiedzy nowoczesnej z Objawieniem Bożem, bodaj jedyne u nas usiłowanie myśli filozoficznej, pokrewne w dążności pracy filozoficznej św. Augustyna, a przedewszystkiem św. Tomasza, którzy podobnie, a za łaską bożą tak skutecznie, zdołali ówczesną wiedzę z objawioną wiarą w jeden wspaniały skojarzyć system"; „Ojczenasz jest... filozofią życia społecznego polską i katolicką pomimo wszystkie uprawnione wątpliwości" [1]).

„Dalszy ciąg nastąpi", czytamy pod tą rozprawą. Ale ciąg dalszy nie nastąpił, — dlaczego, nie trudno się domyślić: oto wyszedł tymczasem (1903) trzeci tom dzieła, który wszystkie owe wątpliwości rozproszył już do szczętu. I w tymże Przeglądzie kościelnym ukazała się praca innego już pióra, ks. Gapczyńskiego: Cieszkowskiego Ojcze Nasz (tom trzeci) wobec Kościoła katolickiego; jest tu już stanowczy wyrok, że Cieszkowskiego, który już w tomie pierwszym popełnił kardynalne błędy filozoficzne, „pociągające za sobą przerażające konsekwencye", w drugim „już z dogmatem zadziera", a w trzecim wreszcie „odkrywa przyłbicę i obala niebacznie wszystkie podwaliny nietylko katolicyzmu, ale... i wszelkiej wiary"; że miał się za natchnionego przez Boga objawiciela prawdy, i to za największego ze wszystkich objawicieli, jakich Pan Bóg dotychczas ludzkości zsyłał; że miał „szaloną wiarę we własny rozum". Pomimo to przyznaje łaskawie ks. Gapczyński, że nie wolno Cieszkowskiego potępiać, skoro „wzorową śmiercią katolicką odwołał wszystko", i że, „jeżeli dziś kto ponosi odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi, to jedynie wydawca, który najlepiej byłby okazał pietyzm dla ojca, nie wydając dalszych tomów".

Syn jednak w inny, lepszy, sposób okazał pietyzm dla swego ojca, wydając w roku 1906 tom czwarty jego dzieła [2]), który też mógł już uwzględnić ks. Gabryl w swojej Polskiej filozofii religijnej wieku XIX [3]); nie pozostawił tu autor prawie ani jednej suchej nitki na całem dziele, odsądzając je niemal zupełnie od czci i wiary, oczywiście, nie ze stanowiska intencyi, tylko dogmatu katolickiego.

---

[1]) Tom I, str. 383 nn.

[2]) Dalszy ciąg jeszcze nie wydany.

[3]) Tom I, str. 255—300.

Na szczęście sądzono dzieło Cieszkowskiego nie tylko z ciasnego stanowiska prawowierności dogmatycznej. P. Adam Żółtowski w swej niemieckiej rozprawie doktorskiej o Cieszkowskim [1]) pierwszy wyłożył umiejętnie jego cały system filozoficzny i pierwszy ocenił wartość życiową i piękność moralną dzieła Ojcze Nasz. Poznali się również na jego niepospolitej piękności i p. Józej Majka, który je nazwał „perłą polskiej myśli i polskiego ducha", i p. Adam Karpowicz, który, zdumiony „bogactwem treści tej prawdziwej księgi mądrości", streścił ją całą, i prof. Maryan Żdziechowski, który „promienne blaskiem czystości uczuć i zamiarów dzieło Cieszkowskiego" zaliczył „do najczcigodniejszych pomników rozkwitu ducha polskiego" [2]). A jak wysoko cenił dzieło Cieszkowskiego Stanisław Szczepanowski, o tem wymownie świadczy jego Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych.

Wszystkie te przytoczone sądy, pomimo że nie jednomyślne, o jednem wszakże świadczą zgodnie: oto każdy, kto czytał dzieło Cieszkowskiego, ten bez względu na swoje przekonania i uczucia religijne, wyrażał się o niem nietylko z szacunkiem, ale nawet z czcią dla szlachetności i głębokości jego myśli. Szkoda tylko, że tych, co je czytają, jest bardzo nie wielu!

Szkoda także, iż historya filozofii polskiej dotychczas nie zdobyła się na wyczerpujące studyum o tem dziele. Dawniejsi filozofowie (Libelt, Trentowski, Tyszyński, ks. Krupiński) poprzestawali na streszczenia Prologomenów do filozofii i pierw-

---

[1]) *Graf August Cieszkowski's „Philosophie der Tat". Die Grundzüge seiner Lehre und der Aufbau seines Systems.* Poznań, 1904. P. Żółtowskiemu zawdzięczamy także piękny szkic o Cieszkowskim w Stu latach myśli polskiej (tom IV, 421—436) oraz niemniej piękną rozprawę o przyjaźni Cieszkowskiego z Krasińskim p. t. Z aktów sławnei przyjaźni w Bibliotece Warszawskiej (1912, I, 56—86; toż jako Wstęp do wydanych przez prof. Kallenbacha Listów Zygmunta Krasińskiego do Augusta Cieszkowskiego, Kraków, 1912, dwa tomy).

[2]) Józef Majka, Ojcze Nasz Augusta Cieszkowskiego w Sprawozdaniu gimnazyum św. Anny w Krakowie za rok szkolny 1910 (Kraków, 1910); autor omawia literaturę przedmiotu, streszcza główne myśli Cieszkowskiego, zastanawia się nad źródłami jego niektórych pomysłów. — Adam Karpowicz, Ojcze Nasz Augusta Cieszkowskiego (Wilno, 1911); jest to obszerne streszczenie czterech tomów po kolei. — Maryan Żdziechowski, Wizya Krasińskiego (Kraków, 1912), str. 3—32. — Rozprawa p. Augusta Popławskiego p. t. Z życia i zapomnianych dzieł Cieszkowskiego (Sfinks, 1916) nie zajmuje się dziełem Ojcze Nasz.

szego tomu dzieła Ojcze Nasz, dodając co najwyżej kilka bardzo ogólnikowych uwag [1]). Studyum Chmielowskiego [2]) ma ten sam jeszcze charakter. Z badaczów późniejszych nawet p. Żółtowski, autor najlepszej i, jak dotychczas, jedynej posiadającej charakter ściśle naukowy monografii o całokształcie filozofii Cieszkowskiego, nie wyczerpał przedmiotu, nie zbadał bowiem jej stosunku do filozofii francuskiej, pomimo że pokrewieństwa myśli Cieszkowskiego z myślą Cousina, Saint-Simona, Bucheza, Piotra Leroux, Proudhona, Comta są niemniej wyraźne, jak pokrewieństwa z myślą Hegla, Fichtego, Schellinga, i wpadają w oczy nawet niefilozofowi, kiedy czyta np. Historyę etyki Jodla [3]) albo Historyę filozofii historyi Flinta [4]). Wspomniał o tych pokrewieństwach ks. Gabryl, ale tylko mimochodem, a o pokrewieństwach z filozofami polskimi, Wrońskim i Trentowskim, także piąte przez dziesiąte [5]). Wzajemnego stosunku myśli Cieszkowskiego i Krasińskiego także nie wyjaśniono jeszcze gruntownie, a przynajmniej ostatecznie, mimo badań p. Żółtowskiego, p. Kleinera [6]) i p. Sobeskiego [7]). Wogóle żółwim krokiem wlokąca się od śmierci Stru-

---

[1]) Libelt, Filozofia i krytyka, wydanie drugie, I, 117—215. — Trentowski, Panteon wiedzy ludzkiej, II, 200—222. — Tyszyński, Rozbiory i krytyki, I, 103—115. – Krupiński, Dodatek do przekładu Historyi filozofii Schweglera, 450—456.

[2]) August Cieszkowski w Ateneum 1894, II.

[3]) *Geschichte der Ethik,* tom II, księga II.

[4]) *History of the philosophy of history. Historical philosophy in France and French Belgium and Switzerland.*

[5]) I, 282—283.

[6]) Zygmunt Krasiński. Dzieje myśli, zwłaszcza tom drugi. Niezmiernie cenne jest spostrzeżenie autora, że swoje pojęcie czynu zawdzięcza po części Cieszkowski Fichtemu. Czy nie zadaleko posuwa się autor, nazywając Krasińskiego współautorem dzieła Ojcze Nasz? Przecie, jak to właśnie wykazał dowodnie p. Kleiner, Krasiński nie był myślicielem samodzielnym, brał gotowe myśli od innych myślicieli, te mianowicie, które mu były potrzebne do konstrukcyi ideowej, stwierdzającej apryoryczną prawdę jego uczuć. Ojcze Nasz bez Krasińskiego istniałby z pewnością; nie istniałby raczej bez obcowania z Cieszkowskim traktat O stanowisku Polski i, co za tem idzie, nie istniałyby ani Przedświt, ani Psalmy. Największą zasługą Krasińskiego około dzieła Ojcze Nasz jest, że on to wymógł na przyjacielu napisanie obszernego wstępu, który się rozrósł do rozmiarów całego piewszego tomu; (wstępem pierwotnym była rozprawa O drogach ducha).

[7]) Cieszkowski i Krasiński (w tomie XXXIX. Roczników Tow. Przyj. Nauk Poznańskiego, str. 1—16); autor omawia dosyć pobieżnie

vego nauka historyi filozofii polskiej powinna się rumienić na myśl o Cieszkowskim [1]), zresztą nietylko o Cieszkowskim: bo czy to nie wstyd, że dotychczas nie mamy opracowania naukowego całokształtu dziejów naszej filozofii? czy nasi filozofowie czekają, żeby ich znowuż wyręczył jaki spolszczony Niemiec, któryby dokończył pracy, rozpoczętej przez Struvego?

Lecz nietylko historya filozofii polskiej, ale także historya literatury polskiej bardzo zgrzeszyła wobec Cieszkowskiego. Nie mówiąc już o podręcznikach szkolnych, zbywających go krótkiemi a niedokładnemi wzmiankami, jak się z nim obeszli autorowie dwóch największych Historyi literatury polskiej? Chmielowski [2]) podał krótko i sucho treść Prolegomenów, dzieła Ojcze Nasz i Dróg ducha, nie mówiąc ani jednego słowa o Cieszkowskim, jako pisarzu, o wartościach literackich jego pism; nie dosyć na tem: widząc w nim jedynie filozofa, zapominając, że był on jednocześnie znakomitym moralistą, krótką wzmiankę o nim (narówni ze wzmiankami o Wrońskim, Kremerze, Trentowskim i Libelcie) umieścił we wstępie do historyi literatury emigracyjnej, jakby go wykluczając z pośród pisarzów, z pośród budowników naszej wielkiej literatury XIX. wieku. Prof. Tarnowski nie przeoczył naturalnie wartości literackich dzieła Cieszkowskiego i słusznie nazwał je „jednym z pięknych pomników polskiej prozy“ ubiegłego stulecia; nie przeoczył i tego, że Ojcze Nasz jest dziełem nie tylko filozoficznem, ale i „tendencyjnem“, że „tendencya moralna, polityczna, społeczna nadaje mu charakter także publicystyczny“; w rozbiorze jednak treści zwrócił uwagę prawie wyłącznie na pierwiastek historyozoficzny, nie mówiąc już o tem, że całemu rozbiorowi udzielił mniej miejsca, niż książce o Bismarcku p. Stanisława Koźmiana.

---

dyalektykę i historyozofię Cieszkowskiego w ich podobieństwie i różnicy z Heglem i Krasińskim, sam otwarcie przyznając, że naszkicował „tylko okruchy filozoficznych dociekań Cieszkowskiego i Krasińskiego“.

[1]) Struve w swej Historyi logiki, jako teoryi poznania w Polsce, uwzględnił, oczywiście, jedynie teoryę poznania Cieszkowskiego, pomijając i historyozofię i etykę. — Poza tem ob. jeszcze Michał Sobeski, Cieszkowskiego Prolegomena do historyozofii (odb. z Biblioteki Warszawskiej 1910); Henryk Boguski, Hegel i jego zwolennicy (Przegląd Narodowy, 1911); St. M-ski, Ojcze Nasz Cieszkowskiego (Słowo i Czyn, 1910).

[2]) Historya literatury polskiej, IV, 22—25.

II. „Ojcze Nasz“, jako utwór literacki.

Takie traktowanie przez historyków literatury jednego z najwspanialszych dzieł, jakie przez wieki całe ltteratura polska wydała, ma swoje źródło, jeśli się nie mylimy, w jednym powszechnym zwyczaju i — grzechu, ciążącym na opracowaniach naszej literatury XIX. wieku. Oto wielkość naszej poezyi tego stulecia tak nas wszystkich olśniła, że zapominamy bardzo często o tem, o czem Francuzi nie zapominają nigdy, mianowicie, że na literaturę składa się nietylko poezya, ale i proza, o ile naturalnie jest piękna. My nie mamy tylu znakomitych prozaików, co Francuzi, ale na ich brak w XIX. wieku i my nie możemy się uskarżać: Śniadeccy, Woronicz, Mochnacki, Szajnocha, Trentowski, Klaczko, Kalinka, — czy tych i niektórych innych jeszcze prozaików nasi historycy literatury traktują tak, jak historycy literatury francuskiej — panią de Staël, de Maistra, Lamennego, Thiersa, Micheleta, Sainte-Beuva i t. d.?

Otóż w szeregu najznakomitszych prozaików polskich znajduje się i Cieszkowski; jego Ojcze Nasz należy niewątpliwie do historyi filozofii polskiej, ale niemniej pewnie do historyi literatury polskiej.

Bo, co do treści przedewszystkiem, czem jest to dzieło? Traktatem historyozoficznym? Zapewne. Ale tylko po części: już przez to jedno bowiem, że się zajmuje głównie przyszłością rodzaju ludzkiego, przekracza granice historyozofii. Prawda, że swój pogląd na przyszłość opiera Cieszkowski w znacznej mierze na przesłankach, zdobytych drogą rozważania przeszłości i na rozumowaniu: ale i to prawda, że, gdyby nie gotowe uczucia w duszy autora, nie byłoby jego poglądów na przyszłość, nie byłoby wogóle całego dzieła. Te zaś pierwiastki uczuciowe w duszy Cieszkowskiego odegrały rolę nietylko pobudek do badań nad ludzkością; one wycisnęły także bardzo silne piętno na samem ujęciu przedmiotu, co więcej, na rozumowaniu: gdyby nie mocna wiara w Boga, jako nie sam rozum, ale także i miłość, w postęp moralny rodzaju ludzkiego i wzrost szczeście na ziemi, i gdyby nie miłość ludzkości i ojczyzny, wyniki rozważań byłyby z pewnością inne. Nie znaczy to bynajmniej, żeby Cieszkowski nie był myślicielem; owszem był, i to głębokim, bardzo głębokim, nierównie głębszym

i... uczciwszym od Trentowskiego, chociaż nie tak zdolnym, jak on; ale jednocześnie był i marzycielem, jednym z najszlachetniejszych, jacy kiedykolwiek byli na bożym świecie, a do tego był człowiekiem bardzo uczuciowym; — i swojemu marzycielstwu, swojej uczuciowości nie zawsze umiał nakazać milczenie tam nawet, gdzie powinna była królować sama myśl krytyczna. Był Cieszkowski filozofem, ale „filozofem romantycznym".

Myśląc o przyszłości i wierząc, że ona będzie taka, jaką ją ludzie zbudować pragną, nie poprzestaje na wykazaniu, jaka to będzie przyszłość i jak ją trzeba budować: on także zachęca, zaklina ludzi, aby ją budowali, z całą świadomością przemawia do ich serc, przez co znowuż wykracza poza obręb filozofii i staje się moralistą, nakłaniającym ludzi nie tylko do wiary w możność zbudowania Królestwa Bożego na ziemi, ale i do realizowania tej wiary, do budowania tego królestwa. A czy pisma moralistów, przemawiających do społeczeństwa w imię najwyższych, najszlachetniejszych ideałów, nie powinny należeć, a raczej czy mogą nie należeć do historyi literatury?

Lecz nie sama treść dzieła Ojcze Nasz rozstrzyga o jego przynależności do literatury polskiej. Jeżeli historycy literatury francuskiej zaliczają do niej wogóle wszystkie dzieła, posiadające wartości literackie, nie wyłączając dzieł przyrodniczych, jak np. Epoki natury Buffona, ani ściśle filozoficznych, jak np. Rozprawa o metodzie Descarta, to jakiemże prawem historyk literatury polskiej miałby pomijać milczeniem, albo nawet zbywać krótką wzmianką dzieło, którego treść stanowią zagadnienia, żywo obchodzące wszystkich myślących ludzi, bo zagadnienia sensu i wartości życia, a które jednocześnie posiada tak niepospolite wartości literackie, że stanowi jedną z najpiękniejszych pereł prozy polskiej wszystkich wieków?

Cieszkowski to przecie jeden z największych znawców i najpotężniejszych władców języka ojczystego. Jego słownik jest niezmiernie bogaty w wyrazy nietylko abstrakcyjne, ale i konkretne; neologizmy są, np. domagalność (postulat), bezprawny (w znaczeniu: pozbawiony praw), jedynaczeć (stawać się jedynakiem), nieborodny, niebodążny: ale nie wpadał nigdy w ich tworzeniu ani w dziwaczność, ani w przesadę Trentowskiego, a i od Krasińskiego miał pod tym względem stanowczo więcej miary i smaku. Błędy językowe, np. nieszczęsne go za-

miast je, dwoje zamiast dwie[1]), wybujając[2]), należą do rzadkich wyjątków; do jeszcze rzadszych — wykroczenia przeciwko składni[3]).

W stylu jest Cieszkowski niepospolitym, a zupełnie świadomym swych środków i celów artystą. Trentowski ma talent pisarski wręcz nadzwyczajny (dowodzą tego nadewszystko jego pisma publicystyczne), ale brakuje mu pospolicie tego, co ma w najwyższym stopniu Cieszkowski, a co stanowi, niestety, tak rzadkie zjawisko w naszej prozie, — świadomego artyzmu.

Ten zaś świadomy artyzm Cieszkowskiego widać przedewszystkiem w budowie dzieła, która nie jest rzeczą przypadku, ani nawet wyłącznym owocem jasnej i logicznej myśli: ona jest także wytworem zmysłu architektonicznego i rozmysłu artystycznego, niezbędnych przy budowie tak wielkiego rozmiarami dzieła. Mówi raz Cieszkowski, że „nieświadomy budowniczej sztuki dziwić się może postępowaniu budowniczego, który snać bawi się daremnem zakopywaniem murów w ziemię, — miasto niezwłocznego wznoszenia budowy“ [4]). Otóż takim fundamentem dzieła jest cały jego tom pierwszy (Wstęp): z jednej strony kryją się w nim podstawy, na których się będzie wznosił cały gmach, a któremi są: wyjaśnienie, czem jest Modlitwa Pańska, rzut oka w przeszłość rodzaju ludzkiego oraz wyjaśnienie pojęcia wieczności, jako kanwy czasowej, na której rodzaj ludzki wyszywa swe dzieje; z drugiej zaś strony zawiera w sobie tom pierwszy rzut oka w przyszłość ludzkości, pogląd ogólny na trzecią jej epokę, która stanowić będzie główny przedmiot całego dzieła. Posługując się terminologią muzyczną, nazywa Cieszkowski ten tom uwerturą czyli wstępem zewnętrznym. Tom zaś drugi (Wezwanie) nazywa introdukcyą czyli wstępem wewnętrznym[5]): ponieważ naukę o przyszłości opiera głównie na słowach Modlitwy Pańskiej, jako najwyższego w jego oczach objawienia bożego, więc cały tom ten poświęca Objawicielowi-Bogu, którego najwyższy, najistotniej-

---

[1]) IV, 38.

[2]) III, 261.

[3]) II, 384; III, 139.

[4]) I, 270. Wszystkie cytaty z tomu pierwszego — według wydania trzeciego (Poznań, 1905), zawierającego w sobie także rozprawę O drogach ducha. Inne tomy nie doczekały się jeszcze drugiego wydania.

[5]) II, 107.

szy atrybut jest wymieniony w Wezwaniu, w słowach: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech". Dalszą budowę oparł Cieszkowski już na kolejnem następstwie siedmiu próśb Modlitwy Pańskiej: tom trzeci wyjaśnia pierwszą prośbę — „Święć się Imię Twoje"; czwarty zaś drugą — „Przyjdź Królestwo Twoje". Czyby każdy z dalszych tomów, gdyby dzieło było skończone i wykończone, był poświęcony wyjaśnieniu jednej tylko prośby, tego nie wiemy; nie wiemy także, czy się w rękopisie dochowało zakończenie, ale, że miało być, o tem wątpić nie wolno, a przynajmniej trudno przypuścić, żeby go u takiego artysty, jak Cieszkowski, nie było, tem więcej, że przecie Modlitwa Pańska ma swoje zakończenie w wyrazie „Amen". Cieszkowski zastanawiał się nad każdem jej słowem, a miałby zapomnieć o takiem, które znaczy: „niechże się tak stanie"? Przecie to było jego dusznem pragnieniem, żeby się tak stało, to jest, żeby się wszystkie prośby Modlitwy Pańskiej ziściły!

Jak na układzie ogólnym, tak i na budowie poszczególnych części i cząstek, poczynając od „działów", na które się każdy poszczególny tom rozpada, aż do zdań i okresów, znać rękę dbałego o piękną formę mistrza. Okresy bywają długie, czasem nawet bardzo długie, ale są wprost klasyczne w swojej harmonijnej budowie, przejrzystości i jasności, zwłaszcza w trzech pierwszych tomach, to jest tych, które autor nietylko skończył, ale i wykończył. Nie samą jednak jasnością, będącą wynikiem nietylko jasnej myśli i doskonałego opanowania przedmiotu, jego gruntownego przemyślenia, ale także świadomej troski o jasność wyrazu, odznacza się styl Cieszkowskiego: bardzo słusznie nazwano dzieło Ojcze Nasz poematem filozoficznym [1]), a to ze względu na obrazowość poetycką stylu, która znów jest zarówno owocem świadomej troski o nią, jako o środek do ułatwienia czytelnikowi, żeby myśl autora lepiej zrozumiał, jak wynikiem organizacyi poetyckiej autora. Cieszkowski bowiem to nietylko myśliciel, ale, jak o tem niezbicie świadczy wspaniały i podniosły liryzm wielu ustępów dzieła, także i poeta. Jest poetą i tam, gdzie się modli do Boga, i tam, gdzie płacze nad ludzkością, że samochcąc grzęźnie w błocie zbrodni, zamiast budować na ziemi strzeliste przybytki Królestwa bożego, i tam, gdzie zaklina i upomina ludzi, żeby się

---

[1]) Leopold Caro, August Cieszkowski, odbitka z Czasu, 1893.

upamiętali, i tam, gdzie wybucha świętem oburzeniem przeciwko tym, co depcą prawa człowieka i narodów, i tam, gdzie wierzy, że pomimo wszystko gmach Królestwa Bożego zbudują ludzie na ziemi. Z ogniem młodzieńczym ten liryzm niema nic wspólnego; nie jest to liryzm namiętny, ani nawet gorący, raczej podniosły, aniżeli wzniosły, liryzm zrównoważony, spokojny, ale w tym spokoju często wręcz majestatyczny. Ten zaś spokój jest spokojem mędrca, który z niezmiernie usilnej i gorliwej pracy własnej myśli zebrał niezmiernie obfite żniwo i patrzył na nie z radością i zadowoleniem moralnem, że praca wydała taki plon; nie dosyć na tem: jest to spokój mędrca, który święcie i głęboko wierzył, że, będąc powołanym przez samego Boga do objawienia swemu narodowi i wszystkim ludziom zbawczej mądrości, mądrość tę, wprawdzie przy pomocy bożej, ale siłą własną znalazł, — już znalazł i teraz ludziom objawia. Krótko mówiąc, głównem źródłem majestatycznego spokoju, który stanowi najwyższą piękność stylu dzieła, jest pewność wewnętrzna autora, często głęboko pomiędzy wierszami ukryta, niemniej przeto dla każdego uważnego czytelnika widoczna, a niejednego może... rażąca.

III. Pewność wewnętrzna autora.

Nad tą sprawą warto się nieco bliżej zastanowić. Za kogo miał się Cieszkowski? Za filozofa? Bardzo naturalnie: inaczej być nie mogło; do tego miał zupełne prawo, bodaj czy nie większe od wszystkich innych naszych filozofów-romantyków, nie wyłączając Trentowskiego. Lecz nie ta świadomość dała mu ową pewność wewnętrzną, którą Volkelt nazwałby intuicyjną [1]); on się miał za coś większego od filozofa w zwykłem znaczeniu tego wyrazu; swoją naukę miał za filozofię, ale taką, która pchnie na nowe tory już nie samą naukę, jak, dajmy na to, filozofia Arystotelesa albo Kanta, ale całe życie, całą ludzkość, — na tory zbawczego czynu. „Myśl Ducha — mówi Cieszkowski [2]) — poprzedza wielki Czyn Ducha": otóż on miał się za myśliciela, którego Bóg powołał do objawienia ludzkości wielkiej myśli, po której i wskutek której nastąpi czyn. „Boże Duchu Święty, który wymierzasz czasy

[1]) *Die Quellen der menschlichen Gewissheit,* Monachium 1906.
[2]) I, 17.

i ważysz czyny ludzkie, dozwoliłeś mi pojąć, iż wielka godzina nadchodzi, — iż nowy otwiera się zawód, że gotuje się ludzkość do nowego, a wielkiego dzieła Objawienia — i woła o nowe Zbawienie. A jeżeliś mię wybrał, Boże, na Zwiastuna wielkich postanowień Twoich, kieruj opatrznie słowy mojemi, aby właściwe w duszy ludzkości uderzyły struny"! [1]) I jakąż to prawdę pragnął Cieszkowski ludzkości objawić i był pewny, że objawia? Zastrzega się kilkakrotnie, że jest to prawda nie nowa, tylko stara, — ta sama, którą Bóg objawił już wprawdzie ludziom przez Jezusa Chrystusa, ale objawił jedynie „pod miarą", nie „spełna" i że tą starą prawdą jest nadewszystko Modlitwa Pańska, której wprawdzie Jezus Chrystus ludzi nauczył, ale której całkowitego znaczenia nie dał mu Pan Bóg objawić, nie zrozumieliby jej bowiem w zupełności ówcześni ludzie; dzisiejsi dopiero zrozumieć ją mogą w zupełności, a człowiekiem, który im ją w zupełności objawi, który im da „objawienie objawienia", jest on dopiero, August Cieszkowski. Kilkakrotnie także zastrzega się, i to najwyraźniej na wzór Chrystusa, że i jego nauka nie znosi objawionej przed wiekami wiary, że ją tylko „wznosi i uzupełnia" [2]), albowiem zamienia na wiedzę to, co dotychczas było tylko wiarą [3]), a tego właśnie potrzeba, żeby się mógł rozpocząć czyn zbawczy.

Nie dosyć na tem. Mówi Cieszkowski wyraźnie: „Nie ważcie się nazywać szaleństwem tego, co tu słyszycie, bo to Wam mówi głos o zdrowych zmysłach i trzeźwym umyśle, nie upojony zatrutą czarą spółczesnych fermentów. Zaprawdę, zaprawdę powiadamy Wam, nie jest to ani większe, ani mniejsze szaleństwo, niż to, które przed osiemnastą wiekami usłyszano, gdy po raz pierwszy odezwał się głos, wzywający ludzi do powszechnego Braterstwa" [4]). To jasne: naukę swoją poczytywał za nie niższą od nauki Jezusa Chrystusa; dodaje w tem miejscu: i nie wyższą, ale skądinąd widać, że w istocie poczytywał ją za wyższą, jako tę, która objawi ludziom prawdziwy i już ostateczny sens nauki Chrystusa (nie żeby sam Chrystus nie mógł jej objawić, ale że nie chciał, zważywszy ówczesny poziom umysłowy ludzkości). Bo oto własne słowa Cieszkowskiego: „Paraklet właśnie przychodzi, aby dać

---

[1]) III, 4.
[2]) III, 267.
[3]) I, 318.
[4]) III, 206.

świadectwo o Jezusie Chrystusie, — z Niego samego bierze, aby dać to świadectwo, a to świadectwo jest dopiero Jego ostateczną Apoteozą, — uwielbieniem jego, — absolutną czcią chwały Jego. A to świadectwo Parakletowe to właśnie niniejsza Ewangelia wieczna, owa modlitwa, przez samego Chrystusa nam zostawiona, jako skarb ukryty, — a dziś odkrywająca się" [1]). Krótko mówiąc, wierzył Cieszkowski, że jest Parakletem, Duchem-Pocieszycielem, zesłanym przez Boga poto, żeby objawił ludziom myśl wielką, od której się zacznie w ich dziejach nowa epoka, równie nowa, jak ta, która się zaczęła od Jezusa Chrystusa, ale nierównie od niej wyższa, bo już ostateczna. I wierzył, że tę myśl wielką, do której objawienia ludziom Pan Bóg go powołał, objawił mu także Pan Bóg. Choćbyśmy nawet nie wiedzieli z biografii Cieszkowskiego, że w młodości jeszcze, gdy się raz modlił w kościele parafialnym w Grębkowie na Podlasiu, rozbłysła nagle w jego duszy intuicyjna pewność, że Modlitwa Pańska ze wszystkich objawień jest objawieniem najwyższem i że on właśnie jest powołany do objawienia tego objawienia, wiedzielibyśmy z samego tekstu dzieła o jego mocnej wierze w to swoje powołanie: „Nie dozwól — modli się Cieszkowski do Boga w majestatycznym psalmie, poprzedzającym rozbiór pierwszej prośby — aby błąd lub zła wola wykrzywiały myśli, któremiś mnie natchnął, — śmiem bowiem głośno wyznać, o Panie, że je wprost od Ciebie mam. Bo nim jeszcze pod ścisłe rozumowanie poddać je zdołałem, już mi stały one żywo w przeczuciu mojem, z natchnienia Twojego. O ścisłości rozumowań ludzie sądzić będą, — ale czystości uczuć i zamiarów Ty jeden jesteś świadkiem. Dlatego ja wiem, że je od Ciebie mam, bo jakieżby mogło wypłynąć dzieło szatańskie z anielskiej miłości? Ty nie mogłeś dopuścić zdradniczego natchnienia. Bo nie naigrawasz się nigdy z tego, co jest najświętszem" [2]).

Cóż o tem wszystkiem sądzić? Czy to może pycha albo megalomania? Ależ Cieszkowski nie był ani człowiekiem pysznym, ani megalomanem: wiemy od człowieka najwiarogodniejszego, że miał „sumienie przed Bogiem korne, a nad sobą czujne" [3]). Więc może obłęd? Ależ ten człowiek umiał myśleć niezwykle trzeźwo,

---

[1]) III, 118—119.

[2]) III, 4—5.

[3]) Tarnowski w Roczn. Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu r. 1894, str. XXXVII.

o czem jego działalność społeczna i polityczna świadczy niemniej wymownie, jak jego pisma ekonomiczne i polityczne. Nie, to nie pycha i nie obłęd, to tylko — wiara, to znaczy zjawisko psychiczne zupełnie swoiste, odrębne od intelligencyi i dlatego chłodnym intellektualistom niedostępne i niezrozumiałe. Wierzący nie sprzeniewierzy się bynajmniej logice, gdy powie intellektualiście: dlaczegożto obłędem ma być moja wiara w istnienie Boga i w moje obcowanie z Nim, a nie twój brak wiary? Cieszkowski wierzył mocno, że są ludzie, którzy obcują z Bogiem, i że do tych ludzi należy właśnie on: to nie obłęd, to mistycyzm, — zjawisko bardzo częste w psychice epoki romantycznej wogóle, a w psychice romantyków polskich tłómaczące się, prócz przyczyn, tkwiących w ogólnej duchowości tej epoki, jeszcze jedną przyczyną, — nieszczęściem ojczyzny. Pragnęli nasi romantycy-mesyaniści naród swój „dźwignąć, uszczęśliwić", chcieli „nim cały świat zadziwić", — nie mieli sposobu i przychodzili go dociec — do Boga, a raczej zdawało się im, że Bóg przychodzi do nich i że objawia im zbawczą prawdę. Jeżeli to obłęd, to najszlachetniejszy ze wszystkich znanych na świecie, bo płynący z miłości rodzaju ludzaju ludzkiego i narodu [1]). Cieszkowski, podobnież jak Hoene-Wroński albo i Słowacki, za taką zbawczą prawdą, za siłę cudotwórczą, która zbawi Polskę i cały świat, poczytywał własną filizofię, tem łatwiej, że wierzył, iż, jak mówi, „dziś zamiast pojedyńczych ludzi, rozesłanych po świecie" (to jest zamiast apostołów, jak za czasów Chrystusa) „idee się w świat rozsyłają"; „to są nowe apostoły ludzkości, apostoły Ducha Świętego, — apostoły niewidome do założenia widomego Królestwa, jako za dni chrystusowych byli widomi Rozesłańcy do założenia niewidomego Królestwa" [2]).

IV. Podstawy i metoda rozumowania.

W piśmie swem Bóg i palingenezya mówi Cieszkowski: „Mistycyzm bezsprzecznie nieodzownym jest w filozofii, a miano-

---

[1]) Na udział uczucia miłości w intuicyi mistyków zwraca uwagę Wł. Dawid w znakomitej rozprawie Około bergsonizmu (Krytyka, 1912, tom XXXV, str. 186. Tamże na str. 312—313 o poglądach Cieszkowskiego na „czynną intuicyę", jako na źródło wiedzy).

[2]) IV, 220.

wicie jako integrujący moment wszelkiej prawdziwej spekulacyi; mistycyzm stanowi właśnie spekulacyę *in nuce;* jeżeli na tem stanowisku poprzestaje, stanowi oczywiście twardy do zgryzienia orzech, albowiem natenczas musi nieodzownie w smutnym dylemacie ujścia swego szukać, t. j. wyrodzić się albo w misteryum, albo w mistyfikacyę;... odwieczna to historya zabagnionej mistyczności; jeżeli więc popaść nie chcemy ani w misteryum, ani w mistyfikacyę, trzeba nam mistyczność samą wznieść i znieść; atoli, jako zniesiona, zachowa zawsze swoje znaczenie w filozofii; niezbędną jest... spekulacyi, a nawet ona jej nadaje żywą siłę i popęd do dalszych, nowych badań;... ma zaś mistycyzm źródło swoje w czynnej intuicyi;... mistycyzm daje zarodek, który dogmatyzm rozkłada i rozwija wszechstronnie, a który w spekulacyi prawdziwej do właściwego owocowania dojrzewa; owa wrzekoma spekulacya, która zarówno mistycyzmem, co dogmatyzmem, gardzi, skazana jest przeto na spekulowanie na jałowej pustyni; wraz z intuicyą straciła i rozum, dokądże dojść może?" Na tych samych podstawach wznosi się gmach filozofii w dziele Ojcze Nasz, a są niemi: mistycyzm, dogmatyzm i spekulacya.

Mistyczności nie lękał się Cieszkowski, i właśnie ona to nadała jego dziełu „żywą siłę" — siłę oddziaływania na czytelnika, i to nietylko na jego intelekt i uczucie, ale także na wolę, i ona to stanowi główny czar tego wspaniałego pomnika myśli i serca polskiego XIX. wieku. Są prawdy, uczy Cieszkowski, których poznanie, początkowe przynajmniej, zawdzięcza człowiek jedynie czynnej intuicyi. „Nie formalnym rachunkiem pojęć, — nie syllogizmami, nie zimnem rozumowaniem przychodzi ludzkość do odkrycia coraz dalszych skarbów prawdy, ale żywem przesiąknięciem się istotą Boga, przyjęciem Jego w *sacrosanctum* serca swego, wiarą w żywy objaw Ducha" [1]); tę żywą prawdę serca swego człowiek „rozwija", „rozmnaża", „przerabia", z niej przędzie „dalszy wątek" zapomocą myśli, „a tą wyrobioną prawdą jest wiedza" [2]). Taką żywą prawdą, osiągniętą dzięki intuicyi, a później dopiero uzasadnioną zapomocą myśli, była dla Cieszkowskiego, prócz wiary w Modlitwę Pańską, jako najwyższe objawienie, ta prawda, która nań spłynęła kiedyś podczas modlitwy w kościele Panny

[1]) III, 279—280.
[2]) Tamże.

Maryi w Krakowie i która się później stanie granitem zarówno jego filozofii przeszłości i przyszłości, jak całego jego niepokalanego życia, prawda, że osią dziejów ludzkości i głównym sensem życia człowieka jest Jezus Chrystus. Taką żywą prawdą była dlań także wiara, że Bóg jest i że jest nie tylko mądrością, ale i miłością. „Każdy chrześcijanin — mówi Cieszkowski — bez dowodu, w głębi serca dozna“ [1]), że Bóg jest Ojcem naszym. „Nie uciekaj się... do żadnej sztuki ani nauki, by... Ojca odszukać;... bo żadnym mozołem, choćby pobożnym, nie dobierzesz się doń tak bezpiecznie, jak własnego serca żywem doświadczeniem“ [2]). To samo żywe doświadczenie własnego serca kazało Cieszkowskiemu mocno uwierzyć, że człowiek jest powołany do wypełnienia coraz to wyższych zadań moralnych i społecznych („socyalnych“); nazywa on to doświadczenie „mądrością praktyczną“ i mówi, że ona to, „na nauce oparta a miłością zagrzana“, nigdy nas nie zawiedzie, bo „patrzy na życie i życiem kieruje“ [3]). Czy nie zbliża się tutaj mistycyzm Cieszkowskiego do dzisiejszego pragmatyzmu? tem więcej, że i dla niego, jak i dla dzisiejszych pragmatystów czy humanistów, „życie społeczne stanowi już samo przez się nietylko najwyższą sztukę i naukę, ale coś więcej jeszcze, ponad wszelkie sztuki i nauki, — stanowi szkołę nad szkołami, — metodę nad metodami, — objawienie nad objawieniami“ [4])?

Mistycyzm Cieszkowskiego musiał go konsekwentnie doprowadzić do dogmatyzmu: kto wierzy w swoją własną intuicyę, temu wolno, a nawet trzeba, wierzyć, że i inni ludzie także mogą mieć i mają swoją intuicyę. Cieszkowski w to wierzy, a i w to święcie wierzy, że niektórzy ludzie mieli tej intuicyi więcej od innych, że się im w niej prawda objawiła pewniej i dokładniej, niż innym, i że tacy ludzie, szczególniej od Boga ubłogosławieni, są powołani do objawiania ludzkości absolutnej prawdy. Największym z tych ludzi jest dla Cieszkowskiego Jezus Chrystus; jemu to Bóg udzielił największego objawienia, które dziś znamy z Ewangelii; to też Ewangelia jest dla człowieka źródłem absolutnej prawdy, — ale jedynie dla tego, kto ją rozumie, kto ją umie czytać; Ewangelia bowiem, jak wogóle Pismo święte, które jest całe

---

[1]) II, 138.
[2]) II, 24.
[3]) I, 110.
[4]) II, 24.

księgą objawioną, nie zawsze i nie wszystkie prawdy wypowiada wprost, ale jedynie te, które ludzie ówcześni mogli zupełnie zrozumieć i pełnić; te zaś, które były dla nich jeszcze niedostępne, wypowiada Pismo święte jedynie „pod miarą“, nie „spełna“, i nie wprost, tylko np. zapomocą parabol i allegoryi, z których dopiero później ludzie mogli albo dopiero będą mogli wyłuskać jądro absolutnej prawdy. Na takiem stanowisku, jako interpretator Pisma świętego, stał już, jak wiadomo, Lessing, a w XIX. wieku, pośród teologów i filozofów niemieckich, także i Hegel, i jego to śladami poszedł zapewne Cieszkowski, który niemało czasu i trudu poświęcił studyom nad Pismem świętem (nie tylko w tekstach łaaińskich, ale także greckich i hebrajskich), oraz nad jego komentatorami, poczynając od ojców i doktorów Kościoła aż do teologów XIX. wieku, przeważnie protestanckich, jak twierdzi ks. Koppens [1]). Przy tych studyach zawsze przyświecała Cieszkowskiemu zasada św. Augustyna: *Distingue tempora, et concordabit Scriptura,* — rozróżniaj czasy, a Pismo święte powie ci prawdę; to znaczy: Pismo święte zawiera w sobie niezawodną prawdę, ale różne czasy pojmowały ją różnie; dziś wybiła godzina, kiedy się z tej księgi świętej wyłoni całkowita prawda, a człowiekiem, powołanym do jej zrozumienia i objawienia jest on sam, autor dzieła Ojcze Nasz.

Dalej. Jest, wierzy i uczy Cieszkowski, w Piśmie świętem Nowego Zakonu jedno miejsce szczególnej wagi, zawierające w sobie najwyższą ze wszystkich prawd objawionych, bo tajemnicę nietylko Boga, ale i przyszłych celów i losów ludzkości, oraz nieomylne wskazania, jak ma ludzkość postępować, żeby swoje powołanie spełnić. Miejscem tem jest Modlitwa Pańska, w której „skupił Zbawiciel cały szereg najżywotniejszych i najbrzemienniejszych tajemnic wiary w siedmiorgu próśb pacierza“ i „zamknął i potwierdził je wszystkie w końcu najdonośniejszem słowem nadziei Amen“ [2]). Modlitwa Pańska to skrócenie, a raczej streszczenie, całej Ewangelii [3]), a jako objawienie przyszłości, jest najwyższem ze wszystkich proroctw [4]), jest „utajonem proroctwem nowego objawienia, — objawieniem trzeciego

[1]) Przegląd Powszechny, j. w., 175.
[2]) II, 2.
[3]) II, 19.
[4]) II, 22.

imienia bożego, trzeciego jego oblicza, trzeciego jego momentu, — objawieniem Ducha Świętego“ [1]). Samo jedno wezwanie Modlitwy Pańskiej, jej pierwsze słowa: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech“, zawierają w sobic tak wielką prawdę, że „zaiste, gdyby był Syn Bóg już na tem jednem poprzestał, zgoła nic innego nam nie objawiwszy, — jedno Ojca naszego, który jest w niebiesiech,... już przez to jedno byłby został zbawicielem świata“ [2]).

Lecz pisząc dzieło historyozoficzne, a przynajmniej dzieło, którego punktem wyjścia jest historyozofia, nie mógł Cieszkowski poprzestać ani na własnej intuicyi, ani na znajomości i interpretacyi Pisma świętego. Wiedząc, że się Bóg objawia nietylko w duszach ludzkich, ale także w ludzkich czynach i w naturze, natury nie badał wprawdzie, bo nie pisał dzieła przyrodniczego, ale czyny ludzkie, t. j. historyę ludzkości, badał niemniej usilnie, jak filozofię i teologię, przyczem, nie poprzestając na opracowaniach ogólnych i monograficznych, sięgał niejednokrotnie do źródeł dziejowych. I wyrobił sobie o wypadkach historycznych sąd własny, niezależny, śmiały (w tem wszystkiem np., co mówi o Kościele, o herezyach, o jezuitach, których, mówiąc nawiasem, poczytywał, jak tylu innych wielkich duchów polskich, za szkodników dla Kościoła i ludzkości), a nieraz sąd, zdumiewający swą głębokością, np. sąd o doniosłości dziejowej nauki chrześcijańskiej. Ale o tem później. Na razie idzie nam jeszcze o charakterystykę metody, jaką posługiwał się Cieszkowski w swojej spekulacyi.

Jestto metoda ta sama, którą się wogóle posługiwała współczesna historyozofia europejska. A więc naprzód — metoda analogii dziejowych, bardzo dla tych myślicieli, którzy przepowiadali przyszłość, ponętna, ale ze stanowiska naukowego bardzo niebezpieczna: jak Krasiński i Trentowski, tak i Cieszkowski snuł wnioski, dotyczące przyszłości, na podstawie przeszłości. Z tego np., że na progu epoki chrześcijańskiej wystąpił na widownię dziejową i odegrał olbrzymią rolę w spełnianiu nowych zadań i powołań nowy szczep narodów, germański, domyśla się i wróży, że teraz, kiedy się zaczyna epoka nowa, ukaże się na arenie historycznej i dominującą rolę w realizacyi nowych ideałów odegra także nowy

---

[1]) III, 70.
[2]) II, 10.

szczep narodów, słowiański [1]). Albo jeszcze: na podstawie tego „przesilenia" w dziejach ludzkości, „które epokę chrześcijańską otworzyło" charakteryzuje nowe przesilenie, „mające epokę przyszłości rozpocząć" [2]), — znów podobnie jak Krasiński.

Bardzo też chętnie posługuje się Cieszkowski metodą „przybliżenia". A więc np. synostwo człowieka względem Boga, albo, jeśli kto woli, ojcostwo Boga względem człowieka, wyjaśnia pojęciem przybliżonem, mianowicie synostwem obywatela względem ojczyzny, albo, jeśli kto woli, macierzyństwem ojczyzny względem obywatela [3]). Z tego rozumowania niechaj wolno będzie przytoczyć nawiasem choć te słowa, tak prawdziwe, a tak dla piękności ducha Cieszkowskiego znamienne: „Jak ojczyzna nietylko nam nie wzbrania dla miłości swojej miłować rodziców, lecz owszem tego po nas tak dalece wymaga, że wyrodnego syna w rodzie nie uzna nigdy za godnego obywatela w narodzie, tak i Ojciec nasz, który jest w niebiesiech, nie zwalnia nas bynajmniej od obowiązków około matki naszej ojczyzny, która jest na ziemi, — ale nas owszem ku niej zobowiązuje tak dalece, że wyrodnego syna ziemskiej ojczyzny sam wydziedzicza z niebieskiej" [4]).

W bliższem pokrewieństwie z tą metodą „przybliżenia" jest metoda porównania, ale wcale nie owo *argumentum per comparationem,* którem w XVI. wieku szermowali tak umiejętnie i zuchwale humaniści, żeby tylko Orzechowskiego i jego karkołomne syllogizmy przypomnieć: porównanie nie jest dla Cieszkowskiego argumentem, jest jedynie środkiem do w y j a ś n i e n i a m y ś l i, do ułatwienia czytelnikowi, by ją zrozumiał. A więc np., żeby mu ułatwić zrozumienie Boga jednego w trzech osobach, pozwala sobie Cieszkowski, jak mówi, na „ziemskie porównanie", ale, dodaje wyraźnie, „tylko do ułatwienia, bo... porównania są zawsze tylko niedołężnemi przybliżeniami" [5]); to zaś „ziemskie porównanie" jest takie: „Ów Michał-Anioł Buonarotti, który wystawił kopułę świętego Piotra, który sąd ostateczny w kaplicy sykstyńskiej wyobraził i który posąg Mojżesza wykuł w marmurze, byłci jednym i tym samym Duchem, — tam był budowniczym, ówdzie malarzem, tu

---

[1]) I, 223.
[2]) I, 120.
[3]) II, 52.
[4]) II, 55.
[5]) III, 213.

znowu rzeźbiarzem, — a w każdym razie spełnym, twórczym artystą, żyjącym subjektem, działającym Duchem [1]); podobnież Bóg jest Trójcą: jest Ojcem, t. j. bytem, Synem, t. j. myślą, i Duchem Świętym, t. j. realizacyą myśli w bycie (czynem), ale w tej Trójcy jest jeden, „i każda osoba Trójcy jest inną, lecz wcale nie kim innym", — „podobnież", zastrzega się Cieszkowski, „a nie również, bo porównania nie są nigdy równania" [2]).

Lecz te wszystkie metody dotyczą jedynie szczegółów. Metodą główną, podstawową, przenikającą całe dzieło, jest metoda dyalektyczna Hegla, która była, jak wiadomo, chlebem powszednim dla polskiej myśli historyozoficznej w epoce romantyzmu, a którą Cieszkowski posługiwał się już w swoich Prolegomenach do historyozofii. Historyozofia Hegla nie mogła go wprawdzie zadowolić: chrześcijanin buntował się w nim przeciwko niedocenianiu przez mistrza berlińskiego (o którym prawdziwie można powiedzieć, że był „jak historyk świata — chłodny") tej olbrzymiej doniosłości, jaką miał, ma i zawsze mieć będzie dla rodzaju ludzkiego Jezus Chrystus; Polak zaś buntował się w nim przeciwko temu, że mistrz berliński skończył swoją historyozofię na teraźniejszości (i to jeszcze pruskiej: „Bóg polityczny stał się Prusakiem", powie z oburzeniem Mickiewicz), że nie sięgnął w przyszłość. Zresztą przeciwko przestawaniu na teraźniejszości buntował się w Cieszkowskim nietylko Polak, ale i myśliciel, dążący zawsze do ogarnięcia całości, do syntezy: „Bez poznawalności przyszłych czasów, t. j., nie uznając przyszłości za integralną część historyi, którąby urzeczywistnienie przeznaczeń ludzkości zawierała, ani mowy być nie może o poznaniu organicznego i dobrego całokształtu, ani apodyktycznego procesu dziejów" [3]). I to właśnie dążenie do ogarnięcia całości jest główną przyczyną, dla której się Cieszkowski w swej historyozofii sprzeniewierzył mistrzowi, ale nie w metodzie, tylko w podziale historyi ludzkości na epoki: kiedy Hegel upatrywał w przeszłości zrazu trzy epoki (wschodnią, grecko-rzymską i chrześcijańsko-germańską), a potem cztery (wschodnią, grecką, rzymską i chrześcijańsko-germańską), Cieszkowski, jak to zaraz zobaczymy, całą przeszłość dzielił tylko na dwie epoki, a że całą przyszłość ujmował w jedną,

---

[1]) Tamże.

[2]) III, 214.

[3]) Prolegomena do historyozofii (przekład polski), 7.

trzecią, więc nie sprzeniewierzył się zasadzie trójdzielności, której się sam mistrz sprzeniewierzył. A i jego metodzie dyalektycznej dochował wierności; zasadę, że każde zjawisko dziejowe jest twierdzeniem, które wywołuje zaprzeczenie samego siebie, aby po niem mogło nastąpić harmonijne skojarzenie przeciwieństw, które znowuż jest twierdzeniem, i t. d., — tę zasadę poczytywał i Cieszkowski za niewzruszone prawo rozwoju dziejowego, nie wykluczające wszakże, pomimo że niewzruszone, ani przypadkowości, ani wolności człowieka: „Historya jest to proces rozwojowy ducha ludzkości w odczuciu, w świadomości i w czynnem stwierdzaniu piękna, prawdy i dobra, proces rozwojowy, który poznać mamy w swojej konieczności, przypadkowości i wolności“ [1]). Taką definicyę historyi daje Cieszkowski w Prologomenach do historyozofii (zamiast definicyi Hegla: „Historya jest postępem w uświadomieniu naszej wolności, postępem, którego konieczność poznać mamy“) i nie schodzi z tego stanowiska w dziele Ojcze Nasz. Z przyjęcia prawa dyalektycznego za dogmat wyniknąć musiało, że wszelki dualizm to w oczach Cieszkowskiego zjawisko przemijające, dla ducha na czas dłuższy niebezpieczne, a ze stanowiska metafizycznego nieprawdziwe: „Istotna prawda tkwi zawsze w trzecim, dopełniającym kierunku, i nigdy absolutnej prawdy nie odkryjem, dopóki jej Trzeciego Słowa nie odkryjem“ [2]).

W tę formułę procesu dyalektycznego wtłoczył Cieszkowski całkowite koleje, przeszłe i przyszłe, rodzaju ludzkiego, a raczej nie wtłoczył, tylko ujął: bo w swem uogólnianiu zjawisk dziejowych, bez którego podział na epoki jest niemożliwy, nie zapoznawał żywej historycznej prawdy, nie składał jej, jak to często bywa w historyozofii, na ołtarzu martwej doktryny. Zdawał sobie bowiem doskonale sprawę z całej różnorodności zjawisk dziejowych, i to różnorodności jednoczesnej; jasno widział, że w każdej fazie dziejowej są i takie zjawiska, które bywały w fazie wcześniejszej i takie, które będą w fazie późniejszej. Tak np. rozumiał, że „wszystko, cokolwiek istotę chrześcijaństwa stanowi, już w epoce przedchrześcijańskiej luźnie i niedojrzale, jakoby *disjecta membra* lub jakoby nie rozwinięte zarody, w stanie

---

[1]) Tamże, 79.
[2]) I, 304.

domysłu i domagalności istniało i panowania nad światem już dobijało się" [1]), i że to wszystko, tylko w wyższej potędze i w zupełniejszej realizacyi, istnieć będzie także w epoce pochrześcijańskiej. Ta jednak jednoczesna różnorodność zjawisk dziejowych nie zamykała Cieszkowskiemu oczu na ten fakt niezbity, że w każdej epoce jest jakiś „panujący kierunek ducha" [2]), jakiś duch czasu; inaczej nie mógłby zbudować żadnego systemu historyofizycznego.

---

[1]) I, 165—166.
[2]) I, 366.

(Dokończenie nastąpi).

Ign. Chrzanowski.

Oświata a wychowanie.

Jednem z haseł, które najsilniej może rozbrzmiewały u nas w okresie czasu, oddzielającym nas od powstania 1863 roku były hasła oświatowe. Społeczeństwo nasze we wszystkich trzech dzielnicach zaczęło zdawać sobie coraz dokładniej sprawę z tego, że jedną z najniebezpieczniejszych konsekwencyi naszego politycznego położenia jest upośledzenie szkolnictwa, szczególnie szkolnictwa ludowego, a nieraz nawet używanie go we wrogich dla nas celach; że przeto samo musi zapobiedz niebezpieczeństwom w te dziedzinie za wszelką cenę.

W Galicyi i na Śląsku austryackim, gdzieśmy się cieszyli większą swobodą, przejawiło się to w działalności różnych towarzystw oświatowych, na których czele kroczy imponujące swym rozwojem Towarzystwo Szkoły Ludowej. W Królestwie przed 1905 r. cała praca oświatowa musiała być z konieczności konspiracyjną i nigdy nie będziemy mogli obliczyć, ile wysiłków się na nią złożyło i ile pochłonęła ofiar; najlepszym dowodem wielkiego zainteresowania się oświatą ludową w Królestwie stał się wprost żywiołowy rozwój Macierzy szkolnej w latach t. zw. wolnościowych; grunt do tak intenzywnej pracy oddawna był już przygotowany w formie gorącego zainteresowania się sprawą oświaty i głębokiego przekonania, że jest ona jedną z najważniejszych, a jednocześnie najbardziej zagrożonych placówek. W Księstwie i w Prusach sprawa przedstawiała się dużo trudniej, ale i tam akcya wszczęta przez Straż dowodziła wielkiego zainteresowania się ze strony społeczeństwa sprawą oświaty polskiej. Wreszcie i w prowincyach zabranych nie brakło nigdy wysiłków i zabiegów nad utrzymaniem oświaty polskiej wśród ludu; jednak wa-

runki pracy były tam najcięższe i podobnie jak w Królestwie przed 1905 r. nie dadzą się bliżej określić w cyfrach.

Od kilku jednak lat zaczynają się w Polsce coraz silniej rozlegać inne hasła, a żądania z niemi związane, wojna i wypływające z niej nadzieje, coraz to wyraźniej wysuwają na pierwszy plan. Hasłem tem jest charakter, a żądania, jakie stawia, zmierzają do tego, aby więcej uwagi i zabiegów poświęcać wychowaniu i pokrewnym mu zagadnieniom, tak bardzo zaniedbywanym w ostatnich czasach w porównaniu z zagadnieniami oświatowemi. Gdy uważnie się wsłuchać w to, co się u nas mówi i pisze, nie można nie dosłyszeć ciągłej skargi na brak charakterów we wszystkich warstwach naszego społeczeństwa, na niemożność nieraz znalezienia człowieka, któregoby można było postawić już nie na czele całego społeczeństwa, ale na czele poszczególnych instytucyi społecznych, których powodzenie po większej części zależne jest od charakterów kierujących jednostek. Stara skarga Paska, który już w 1678 r. narzekał, że u nas w Polsce „choć ludzi jest gwałt, a o człowieka czasem trudno“, dziś nie mniej jest aktualna niż wtedy: a chwile, które dziś przeżywamy, bardziej niż kiedy indziej wymagają całych zastępów ludzi o silnych charakterach, na których z całem zaufaniem możnaby oprzeć podwaliny przyszłego ustroju Polski.

To tez wraz z ubolewaniami nad smutnym stanem wychowania raz poraz można spotkać na łamach naszych dzienników projekta reform wychowawczych, a wszystkie obracają się koło tej myśli, którą już Wielopolski wypowiedział: „Polaków trzeba wychować“; coraz jaśniejszem się nam staje, że jesteśmy społeczeństwem jako całość nie dostatecznie wychowanem, że na tym punkcie znacznie pozostaliśmy w tyle poza społeczeństwami zachodnio-europejskiemi.

Powstaje więc bardzo poważny rywal dla haseł oświatowych w postaci haseł wychowawczych; obok wołań o naukę coraz głośniej rozlega się wołanie o charakter. W prasie warszawskiej poruszono nawet myśl, może nie bardzo praktyczną, założenia „Ligi kształcenia charakteru narodowego“ („Kuryer Warszawski“ 10. listopada 1905 r.).

Że oba te dążenia nie są ze sobą sprzeczne, jest aż nadto jasnem; oba wyrastają z równie głęboko uzasadnionych potrzeb naszego społeczeństwa, które winno znaleść dość sił i środków

dla zadośćuczynienia im obu. Że jednak między niemi łatwo mogłoby przyjść do pewnych tarć, koniecznem będzie poddać dokładniejszemu studyum hasła oświatowe i hasła wychowawcze. Trzeba będzie porównać je z sobą, poznać zarówno ich punkty styczne jak i rozbieżne, a to w tym celu, aby z jednej strony sharmonizować z sobą te dwie dziedziny, które częściowo zlewają się z sobą i winny rozwijać się nietylko równorzędnie, ale i solidarnie; z drugiej zaś, aby ustalić pewne rozgraniczenie kompetencyi, pewien podział pracy, który jak wszędzie, tak i tu okazuje się koniecznym; szczególnie gdy chodzi o przygotowanie pracowników, dziedzina wychowania do innych kół się będzie zwracać i innej pracy przygotowawczej od nich wymagać niż dziedzina oświaty. To też nieodzownem się wydaje poddać w szeregu zagadnień gruntownemu badaniu wzajemne stosunki obu tych dziedzin, aby ustalić ich wzajemne granice i kompetencye i poznać warunki, w jakich mogą rozwijać się harmonijnie i wspierać nawzajem. Zapewne, że przejściowe tarcia będą nieuniknione, ale właśnie dlatego, żeby nie przeszły w otwarty konflikt, trzeba raz postawić jasno kwestyę.

I.

Że hasła oświatowe wyprzedziły hasła wychowawcze, dziwić nie powinno. Wychowanie jest przedewszystkiem zadaniem rodziny i kościoła, i obie te instytucye, choć nieraz ograniczone i krępowane w swej działalności, mogły jednak do pewnego stopnia wypełniać swe zadanie. Oświata natomiast, t. j. kształcenie umysłu jest przedewszystkiem zadaniem szkoły, a ta coraz bardziej przechodziła w ostatnich czasach w ręce władz państwowych i stawała się narzędziem powolnem w ich ręku. Dosyć sobie przypomnieć dzieje szkolnictwa w zaborze rosyjskim, gdzie szkoła tak wyraźnie była skierowana przeciw społeczeństwu polskiemu, żeby zrozumieć, jak koniecznem było przeciwdziałać tej akcyi rządowej świadomą akcyą oświatową, wypływającą z polskiej myśli narodowej.

Oprócz jednak tej pierwszorzędnej przyczyny można wskazać jeszcze i inną, mniej rzucającą się w oczy, a o tyle może ważniejszą, że nie wypływa z warunków naszego bytu politycznego i może przetrwać pomimo, że się te ostatnie zmienią. Mam tu na

myśli atmosferę filozoficzną XIX. wieku, w której pewien intelektualizm moralny był bardzo modny.

Sprowadzanie moralności do samej wiadomości o tem, co jest dobre, a co złe i, co za tem idzie, wychowania do uświadamiania o obowiązkach, jest stare jak filozofia. Już Sokrates nauczał, że nikt nie postępuje świadomie źle; zło w postępowaniu moralnem może być wytłómaczone tylko nieświadomością; skąd wypływał wniosek, że sama oświata wychowuje, ucząc co jest dobre, a co złe. Nieco głębiej, ale niemniej jednostronnie ujmowali stoicy zagadnienie wychowania moralnego. Nie zapoznawali oni wpływu woli, która może zupełnie świadomie chcieć zło, ale wrogie ich stanowisko wobec całej dziedziny uczuć pozbawiało wolę jej najdzielniejszego współpracownika, jakim jest życie uczuciowe. Wychowanie w etyce stoickiej sprowadzało się wobec tego do moralizowania woli, z zupełnem zaniedbaniem ćwiczenia tych niższych władz duszy, które w życiu moralnem tak dużą odgrywają rolę, a które zdaniem stoików winny być zeń zupełnie wykluczone. Stąd moralność stoicka nosi na sobie tak wybitne racyonalistyczne i arystokratyczne piętno i to tłómaczy jej zupełną jałowość życiową.

Podobny proces myśli można odnaleść i w dziejach nowszej filozofii. Pierwsi z wybitniejszych jej przedstawicieli, Baco i Descartes, zajmowali bardzo podobne stanowisko, a przyczyną tego był ich spirytualizm, niezdolny wytłómaczyć stosunek ducha do ciała. Takie powiedzenie Bacona, że człowiek o tyle może, o ile wie, cały nacisk kładzie na pierwiastek intellektualny w życiu moralnem z zupełnem pominięciem całej pracy wychowawczej, bez której człowiek, choćby wszystko wiedział, nie wiele, a czasami nic nie może. Dla Descartesa akty woli, uczucia, afekty, są przedewszystkiem ideami; one go o tyle interesują, o ile są przedmiotem świadomości, będącej w jego mniemaniu istotą naszego życia psychicznego. Stąd w jego systemie między myślą a czynem istnieje luka, której nic wypełnić nie zdoła. W takich warunkach nie może być mowy o wychowaniu, bo zadaniem jego jest właśnie ukształtowanie i ćwiczenie tych władz duszy, które stanowią łącznik pomiędzy dziedziną myśli a dziedziną czynu, a właśnie te władze psychologia Descartesa zapoznaje zupełnie.

To samo można powiedzieć i co do Spinozy i co do Kanta; szczególnie ten ostatni w wysokim stopniu jest odpowiedzialny za

te pierwiastki stoickie, które tak bezpodzielnie panowały w atmosferze moralnej XIX. wieku i od których i myśl chrześcijańska nie zawsze umiała się całkowicie uchronić. Podkopawszy znaczenie rozumu w dziedzinie myśli teoretycznej, Kant przyznał mu zbyt wyłączną rolę w dziedzinie czynu, pomijając tak ważną sferę uczuć. Jego doktryna kategorycznego imperatywu stanowczo odrzuca grę motywów uczuciowych, nawet, można powiedzieć, pożądawczych wogóle, i jako jedyną pobudkę postępowania stawia zimny obowiązek. W podobnym systemie moralnym praca wychowawcza z konieczności sprowadza się do uświadamiania obowiązków i przybiera charakter czysto intelektualny, moralizatorski. Najwyżej kładzie się nacisk na wyrabianie woli, ale praca nad wolą jest zupełnie jałową, gdy się odrzuca jej motywy i zapoznaje jej ścisły kontakt z życiem uczuciowem. Tem się tłumaczy, że i reakcya woluntarystyczna, mająca w Schopenhauerze swe źródło, nie na wiele się tu zdała; w dziedzinie moralności bowiem nawet silne podkreślanie woli, dochodzące aż do stawiania jej ponad rozumem, nie wystarcza, skoro się zapoznaje całą sferę życia uczuciowego i nie wyznaczy mu wyraźnego miejsca w pracy wychowawczej. Tu jest właśnie najsłabsza strona współczesnej filozofii moralnej.

Mści się tu oderwanie psychologii od metafizyki. Ona jedna, rozwiązując zagadnienie stosunku duszy do ciała, daje psychologii klucz do zrozumienia funkcyonowania wszystkich władz natury ludzkiej, w których wspólny udział pierwiastku duchowego i materyalnego tyle przedstawia trudności. Oderwana od metafizyki w XVII. wieku psychologia, klucza tego nie znalazła, stąd też i etyka, która musi się na niej opierać, straciła swą silną podstawę. Z nauki o wychowaniu stała się nauką o normach moralnych postępowania o bardzo wybitnym intellektualnym charakterze. Wystarczy przejrzeć wielkie prace syntetyczne z dziedziny etyki, których tyle się w ostatnich czasach ukazywało, takie np. prace Paulsena, Wundta, Höffdinga lub innych, aby być uderzonym tym zupełnem zaniedbaniem lub przynajmniej odsuwaniem na drugi plan przez nich praktycznych zagadnień wychowawczych. Są to zawsze w pierwszym rzędzie dysertacye o normach postępowania moralnego, zaś zagadnienie, co robić, aby sobie ludzie przyswoili te normy, aby one przeszły im w krew i kości w dużo mniejszym stopniu interesują ich autorów. Zapewne, że zagadnie-

nie to, może być osobno traktowane i coraz bardziej zaczyna się wyodrębniać w osobną dyscyplinę, noszącą nazwę nauki o charakterze; pomimo to nie przestaje ono być jednem z najważniejszych zagadnień moralnych i w syntetycznych dziełach etycznych winno być postawione na naczelnem miejscu. Ale to zaniedbywanie praktycznych zagadnień wychowawczych przez współczesnych moralistów tłumaczy się właśnie punktem wyjścia ich myśli filozoficznej, w której natura człowieka iest ujęta bardzo jednostronnie. Ciąży na niej wciąż piętno spirytualizmu XVII wieku i mającego w niem swe źródło stoicyzmu kantowskiego, w myśl których samo uświadamianie o obowiązkach może niemal zastąpić systematyczne wychowanie wszystkich władz duszy. Człowiekiem, który te zasady filozoficzne wprowadził do pedagogii i najbardziej rozpowszechnił, był Herbart. „*Die Wirkung auf den Gedankenkreis*... pisze on w swej *Allgemeine Pedagogik* (*Bd. III. Kap. 4, III.*) *ist, wiewohl sie nur einen Faktor des Charakters trifft, dennoch b e i n a h e d a s G a n z e der absichtlichen Charakterbildung*". Wpływy herbarcyanizmu w pedagogice były bardzo duże w ostatnich dziesiątkach lat, a z niemi rozpowszechniało się jednocześnie i to przekonanie, że oświata sama przez się ma wystarczającą wartość wychowawczą, że uświadomienie sobie obowiązków wystarcza, aby je przyjąć na siebie, aby się niemi przejąć.

W tej to atmosferze filozoficznej XIX w. czerpał swe zasady i ruch oświatowy; i on łudził się, że oświata wszystko zrobi, i w zapale pracy zapoznawał doniosłość zadań wychowawczych; zapewne, że mało kto z działaczy oświatowych u nas uświadamiał sobie całkowicie powyższe teoretyczne założenia; akcya jednak musiała mieć jakieś mniej lub więcej świadome, filozoficzne podłoże i z konieczności oparła się na tych zasadach filozoficznych, które znajdowały we współczesnej atmosferze umysłowej największe rozpowszechnienie.

A jednak nie potrzeba chyba głębszych dociekań filozoficznych, lecz wystarczy zwrócić się do zdrowego rozsądku i doświadczenia codziennego życia, żeby się przekonać, że wiedza nie stanowi o całej wartości człowieka. Można dużo umieć i wiedzieć, być umysłowo bardzo rozwiniętym a jednocześnie być mało pożytecznym dla siebie i społeczeństwa człowiekiem, ba nawet bardzo szkodliwym; można natomiast przy ograniczonych wiadomościach i rozwoju umysłowym pracować dla siebie i dla innych

z wielkim pożytkiem. Więcej tedy od samego wykształcenia znaczy sposób, w jaki to wykształcenie będzie używane, a tego sposobu samo wykształcenie nie daje; umiejętność dobrego spożytkowania wiedzy należy do innej dziedziny, bardziej z życiem związanej a zwanej dziedziną wychowania. Wychowanie to bowiem dopiero daje tę umiejętność czy też zdolność dobrego używania zarówno przyrodzonych darów umysłu, jak i nabytych wiadomości; ono dopiero nadaje wykształceniu prawdziwą wartość.

Słuszność tego stanowiska jest tak oczywista, iż nikt niewątpliwie mu nie zaprzeczy. Jest to jedna z tych prawd zdrowego sensu, której nas uczy doświadczenie życiowe i na którą zgadzają się wszyscy, bez różnicy zapatrywań filozoficznych. I wyżej wymienione kierunki filoficzne wprost nie mogą jej zaprzeczyć; niewątpliwie jednak, wychodząc z fałszywych założeń, przyćmiły ją bardzo w świadomości ogółu i budzący się obecnie ruch na korzyść akcyi wychowawczej jest właśnie przeciw temu reakcyą. Doświadczenie bowiem pokazało nam, że sama oświata nie wystarcza, że obok pracy nad wykształceniem musi się rozwijać praca nad wychowaniem, któreby zaprawiało do dobrego użytku zdobytych wiadomości; że, innemi słowy, w człowieku oprócz władz poznawczych, które trzeba za pomocą wykształcenia rozwijać i wzbogacać różnemi wiadomościami, są jeszcze i inne władze, władze pożądawcze, odgrywające wielką rolę w moralnem życiu człowieka i wymagające też systematycznej pracy nad sobą, innej jednak niż ta, za pomocą której odbywa się kształcenie władz poznawczych.

U nas doskonale ujął to zagadnienie w dosadną formułę nie żaden filozof, ale wielki wódz i niepośledni znawca ludzi, król Jan Sobieski: „od chcenia i mówienia — miał on mawiać — trakt daleki do czynienia“. Rozumiał on, że proces umysłowy przejawiający się w bogatwie myśli i idących za niemi pragnień i w pięknych słowach, wyrażających te myśli i pragnienia, nie wystarcza jeszcze jako przygotowanie do jednolitej i wytrwałej działalności praktycznej; że między myślą a czynem nie ma bezpośredniego połączenia, ale przedziela je cała dziedzina władz pożądawczych, które muszą być dopiero gruntownie wyćwiczone i starannie wychowane na to, aby rozumna myśl mogła się przejawić w dzielnym czynie.

Pozostając więc przy formułce króla Jana, tak swoistej, tak ściśle odpowiadającej naszemu polskiemu usposobieniu, możemy powiedzieć, że zadaniem wychowania jest zbudowanie i utrzymywanie w dobrym stanie tego traktu, który łączy myśl i chcenie z czynem i prowadzi od wykształcenia rozumu przez wychowanie woli i władz serca do pożytecznej działalności praktycznej.

Przyjrzyjmy się teraz tej budowie, zatrzymując się w szczególności nad zagadniem o wzajemnym stosunku w tej pracy pierwiastków intelektualnych i moralnych, wykształcenia i wychowania.

II.

Chcąc systematycznie ująć zagadnienie o wzajemnym stosunku wykształcenia do wychowania, powiedzieliśmy, że pierwsze odnosi się przedewszystkiem do władz poznawczych, a drugie do władz pożądawczych.

Zadania wykształcenia do dwóch można sprowadzić: w pierwszej linii ma ono wyćwiczyć nasze władze poznawcze, t. j. rozum, pamięć, wyobraźnię i zmysły tak, iżbyśmy nabrali wprawy w umiejętnem ich używaniu; następnie ma ono te władze zaopatrzyć w pewne pozytywne wiadomości, które mogą nam być w życiu potrzebne.

W wychowaniu możemy też o dwóch zadaniach mówić. Jedno polega na powzięciu pewnych pozytywnych wiadomości o zasadach postępowania moralnego i należy pod pewnym względem do wykształcenia. Choć nie jest najważniejszym czynnikiem wychowawczym, nie powinno jednak być zaniedbywane; przeciwnie wraz z postępem pracy wychowawczej powinno iść coraz gruntowniejsze zrozumienie uzasadnienia praw moralnych; zaniedbanie pierwiastka rozumowego jest dla wychowania fatalne. Drugie, t. j. właściwe wychowanie zajmuje się wyćwiczeniem wszystkich władz człowieka, zarówno pożądawczych jak i poznawczych w stosunku do działalności praktycznej. Z władz poznawczych szczególniej sam rozum musi zostać wyćwiczony w kierowaniu życiem, wychowany do rządzenia, uzbrojony w roztropność, rozwagę, rozsądek. Władza pożądawcza, zarówno umysłowa — wola, jak i zmysłowe — uczucia, afekty, namiętności, czy jak zechcemy je nazwać, wszystkie muszą być wyćwiczone i ujęte w pewne formy, żeby harmonijnie działać i zapewnić postępowaniu naszemu jedność,

stałość i pewność. Rezultatem tej pracy wychowawczej jest powiązanie wszystkich moralnych czynników w człowieku w jeden całokształt, który nazywamy charakterem.

Już z tego krótkiego zestawienia zadań wykształcenia z zadaniami wychowania wypływa, że dwie te dziedziny nie są bynajmniej od siebie oddzielone jakąś nieprzenikalną ścianą. Przeciwnie rozwijają się one równolegle, wciąż stykając się z sobą i pomagając sobie nawzajem.

Wykształcenie ma dla wychowania pierwszorzędne znaczenie tak, iż bez pewnego elementarnego wykształcenia nie może być mowy o wychowaniu. Musi się ono bowiem opierać na pewnych podstawowych wiadomościach, których umysł niewykształcony ani powziąć i zrozumieć, ani zachować w pamięci, ani w razie potrzeby rozwinąć i uzupełnić nie potrafi. Szerzenie więc oświaty jest dla ugruntowania wychowania wprost nieodzowne i dziwnem zaślepieniem jest rozbudzać do oświaty nieufność pod pretekstem, że ona demoralizuje; ona sama ani nie wychowuje, ani nie demoralizuje, ale otwiera drogę w jednym i drugim kierunku, a od pracy wychowawczej dopiero zależeć będzie, który z tych dwóch kierunków zostanie obrany. Pierwszy postulat akcyi oświatowej, szerzenie umiejętności czytania i pisania, jest dla akcyi wychowawczej ogromnej doniosłości, dając możność zapomocą słowa drukowanego wpływać na umysły. Naturalnie, że jeżeli szerzy się czytelnictwo, a zaniedbuje pracę wychowawczą, wtedy może się ono stać bardzo szkodliwem, ale temu już nie akcya oświatowa winna, ale brak akcyi wychowawczej.

Nawzajem jednak i wychowanie ma dla wykształcenia bardzo duże znaczenie. Rozwój władz poznawczych, wzbogacanie ich różnemi pożytecznemi wiadomościami nie obywa się bez wysiłków i wymaga wytrwałej i systematycznej pracy. Otóż bez wychowania władz pożądawczych wysiłki te nie dadzą się osiągnąć i wykształcenie prowadzone nierównym tempem, bez wytrwałości, połowiczne albo wprost znikome da rezultaty. Samo już uczenie się ma pewną wartość wychowawczą nie tylko przez to, że daje wiadomości pożyteczne do wychowania, ale że zmusza do systematycznych i wytrwałych wysiłków zarówno władze poznawcze, jak i władze pożądawcze. Na to jednak, żeby się z korzyścią rozwijać, musi się opierać na ciągłej pracy wychowawczej, bez

której nigdy nie zdoła opanować tych trudności, które z każdem uczeniem się są związane: lenistwa, nieuwagi i t. p.

Są to więc dwa procesy ściśle z sobą związane i gdy się harmonijnie, równolegle rozwijają wciąż oddziaływają wzajemnie na siebie, dodają sobie sił, ułatwiają sobie swoje właściwe zadania. Mają też sporo wspólnych cech. Tak np. jak kształcenie, uczenie się musi zawsze być w większym czy mniejszym stopniu samokształceniem, tak wychowanie musi być samowychowywaniem. I w jednej i w drugiej dziedzinie pomoc nauczyciela i wychowawcy jest potrzebną — i bardzo niebezpieczną przesadą, szczególnie w dziedzinie wykształcenia, jest stawianie samouctwa nad naukę pod kierunkiem nauczyciela. A jednak i w uczeniu i w wychowywaniu pomoc z zewnątrz to jedno ma na celu, żeby pokazać, jak samemu ten wewnętrzny proces kształcenia i wychowania przeprowadzić lub żeby ewentualnie zmusić do większego lub bardziej wytrwałego wysiłku, gdy na drodze staną jakie przeszkody. Nauczyciel nie nauczy, a wychowawca nie wychowa, jeśli się pupil sam ze swej strony do tej pracy się nie przyłoży i wielka sztuka nauczania i wychowywania na tem właśnie polega, aby umieć wzbudzić w młodzieży zainteresowanie do nauki i do pracy nad charakterem, tak iżby pod kierunkiem starszych sami tę pracę prowadzili, aby ją uważali jako swoją własną pracę. Wiele innych dałoby się jeszcze wskazać podobieństw między procesem uczenia i wychowywania, tymczasem na to jedno zwróciliśmy uwagę, jako na najdonioślejsze.

Niemniej jednak istnieją między niemi i bardzo głębokie różnice i trzeba się nad niemi zastanowić nietylko ze względów teoretycznych, ale przedewszystkiem dla tego, że różnice te pociągają za sobą bardzo daleko sięgające konsekwencye w praktycznej organizacyi obu akcyi, oświatowej i wychowawczej.

Przedewszystkiem więc wykształcenie rozwija się w kierunku odśrodkowym i w miarę jak się posuwa, traci wewnętrzną jedność i spójnię. Zapewne, że u swego punktu wyjścia wszystkie nauki opierają się na tych samych podstawowych prawach myśli, że i później w dalszym swym rozwoju posługują się temi samemi ogólnemi metodami, wypływającemi z tych właśnie podstawowych praw; ale w miarę, jak się rozwijają, oddalają się od siebie nawzajem, coraz bardziej tracą kontakt z sobą i wewnętrzną łączność

i tylko najogólniejsze ich zagadnienia spotykają się jeszcze z sobą w najogólniejszej z nauk, w filozofii.

Inaczej ma się rzecz z wychowaniem; ono pracuje w kierunku dośrodkowym i w miarę, jak się posuwa naprzód, daje coraz więcej jedności, jednolitości, spójni wewnętrznej. Charakter w pierwszej linii wywołuje w nas myśl czegoś jednolitego, czegoś, co nadaje właściwe piętno całemu życiu moralnemu człowieka. Bo też życie moralne czerpie swą jedność nie tylko ze wspólnych zasad myślenia, jak życie umysłowe; tę wybitną cechę jedności i jednolitości nadaje mu przedewszystkiem jedność celu, do którego prowadzi i która sprawia, że wszystkie władze, wszystkie czyny, słowem cała działalność człowieka tak musi być skoordynowana i wewnętrznie spojona, aby ten cel mógł być osiągnięty.

Pierwszą konsekwencyą, jaka stąd wypływa, jest konieczność specyalizacyi w dziedzinie umysłowej, w dziedzinie wykształcenia, a zupełna jej niedopuszczalność w dziedzinie moralnej, w dziedzinie wychowania.

Nauczyciel jedynie na pierwszym stopniu nauczania, pierwiastkowym, t. j. w szkole ludowej uczy wszystkiego i czytania i pisania i rachunków i historyi i geografii i nawet, jak w niektórych krajach, religii. Już na drugim stopniu nauczania jest to niemożliwe; jeśli ze względów praktycznych nie może on poświęcić się nauczaniu jednego przedmiotu, to wybiera grupy przedmiotów pokrewnych, jak języki lub historya i geografia lub matematyka i przyrodoznawstwo i t. d. Z zapoznania tej konieczności specyalizacyi w wykształceniu średniem wypływają nieraz fatalne skutki kształcenia dzieci w domu przez jednego nauczyciela; dzieci takie oddane potem do szkół w środku kursu szkolnego rady sobie dać nie mogą, otrzymawszy początki we wszystkich dziedzinach od człowieka, który zmuszony wszystkiego uczyć, nie może być fachowcem w każdej gałęzi; nieraz nie jest nim nawet w żadnej, będąc prostym korepetytorem. Na najwyższym stopniu nauczania, uniwersyteckim, specyalizacya idzie jeszcze dalej; tu już każdy musi się jednej nauce poświęcić, a nawet w zakresie tej nauki jednej gałęzi, jednej specyalności, jednemu zagadnieniu. Zapewne, że bywają umysły, którym to nie wystarcza i które dążą do objęcia szerszych widnokręgów; ale jeśli nie czynią tego z punktu widzenia filozoficznego, nie zatrzymują się tylko nad ogólnemi danemi poszczególnych nauk, a wchodzą w szczegóły, to z konie-

czności stają się we wszystkich dziedzinach dyletantami; a i filozofom nieraz się coś oberwie od fachowców w poszczególnych naukach, gdy się w ich dziedziny zapuszczą nieopatrznie.

Oprócz więc ogólnego związku w filozoficznych swych podstawach, poszczególne gałęzie wiedzy są bardzo słabemi więzami ze sobą połączone, a więzy te stają się coraz słabsze w miarę, jak nauka posuwa się dalej w poznawaniu szczegółów. Przejawia się to już bardzo wyraźnie w różniczkowaniu się umysłów w szkole średniej; nieraz uczeń okazujący dużo zdolności w jednym przedmiocie, nie ma ich wcale w drugim; na uniwersytecie zapomni on nawet to trochę, czego zdołał się nauczyć z tego ostatniego, pozostanie mu z niego najwyżej trochę elementarnych pojęć; nie przeszkodzi mu to jednak z dużem powodzeniem oddawać sie studyom w dziedzinie, do której ma zdolności i zamiłowanie, może w niej nawet dojść do bardzo wybitnych rezultatów.

Zupełnie inaczej rzecz się ma w dziedzinie wychowania. Postęp jego nie polega jak w wykształceniu na systematycznem nabywaniu wiadomości o rzeczach zewnętrznych, które nie są z sobą ścisłemi więzami połączone, lecz na wyćwiczeniu i przygotowaniu wszystkich władz do jednolitej działalności. Żaden czyn moralny człowieka nie pochodzi od jednej władzy, w każdym kilka ich bierze udział, nieraz nawet wszystkie te, które zdolne są do udziału w życiu moralnem. Na to więc, aby poszczególne uczynki były dobre, tembardziej zaś, żeby cała działalność człowieka nosiła na sobie cechy doskonałości, konieczne jest wychowanie wszystkich jego władz, harmonijne zestrojenie wszystkich czynników życia moralnego. Samo już pojęcie charakteru zawiera w sobie te cechy jednolitości, których od wychowania wymagamy i nieraz się zdarza, że jeden mały brak, jedna skaza w charakterze skądinąd robiącym wrażenie jednolitego, odbija się fatalnie na całej działalności danego osobnika, paraliżując ją nawet w tych dziedzinach, na które zdawałaby się nie wywierać wpływu. Zapewne, że i w wychowaniu charakteru trzeba zwracać uwagę nietylko na wrodzone dane poszczególnych jednostek, ale i na powołanie lub zawód przez nie obrany, na warunki życia i inne okoliczności, stałe i przemijające. Inaczej trzeba wychowywać księży, a inaczej żołnierzy, inaczej rozwijać się powinien charakter rolnika, inaczej żeglarza lub górnika. Ale wszystko to są małe różnice w porównaniu

z temi ogólnemi podstawami charakteru, które każdy niezależnie od powołania i zatrudnienia powinien posiąść i przez całe życie utrwalać, rozwijać i pielęgnować. O takiej specyalizacyi, jaka z konieczności ma miejsce w dziedzinie wykształcenia, mowy tu być nie może. Można się poświęcić matematyce, a zaniedbać historyę, bo wykształcenie matematyczne nic na tem nie cierpi, że nie będzie miało oparcia o wykształcenie historyczne. Ale nie można specyalnie wychowywać się w cnocie męstwa, a zaniedbać roztropność, lub dbać o sprawiedliwość, a zapominać o wstrzemięźliwości; i to nie tylko dla tego, że każda z tych cnót jest równie potrzebną w życiu, ale że żadna z nich nie może być doskonałą, żadna nie może normalnie funkcyonować bez pomocy drugich, na których koniecznie musi się opierać; jak męstwo bez roztropności nie jest męstwem, lecz wnet przeradza się w zuchwalstwo i szaleństwo, tak i sprawiedliwość nie jest możliwą bez wstrzemięźliwości i *vice versa*. Rezultatem więc wychowania musi być wyrobienie w sobie wszystkich składowych cech charakteru; choćby tej lub owej cnoty rzadziej wypadło użyć, musi ona być jednak gotowa pod ręką, bo gdy przyjdzie jej potrzeba, zapóźno będzie zaczynać pracować nad jej wyrobieniem.

Drugą konsekwencyą, jaka z dotychczasowego porównania wykształcenia z wychowaniem wypływa, jest konieczność poruczenia tych dwóch funkcyi oddzielnym organom w społeczeństwie.

Jeśli na razie abstrahować będziemy od nadprzyrodzonych zadań wychowania i wykształcenia, przypadających w udziale Kościołowi, możemy powiedzieć, że do wychowywania powołana jest w społeczeństwie przedewszystkiem rodzina, do kształcenia zaś przedewszystkiem — szkoła. Naturalnie, że i państwo i społeczeństwo nie mogą nie interesować się temi tak ważnemi funkcyami życia społecznego; państwo winno zdaleka dozorować funkcyonowanie tych dwóch organów, otaczać je opieką prawa, nie mieszając się jednak zbytecznie do ich działalności tam, gdzie dobrze wypełniają swoje zadania.

Wychowanie jest przedewszystkiem zadaniem rodziny; ona daje dziecku życie, ona je karmi i dozoruje jego rozwój fizyczny; w jej otoczeniu ono spędza w pierwszych latach wszystkie swoje chwile; później, gdy coraz bardziej samodzielnie żyć zaczyna, raz po raz do niej powraca, aby nowych sił zaczerpnąć i zagoić rany, które mu życie zadało. I zadanie wychowawcze nie przekracza sił

rodziny. Jakeśmy widzieli, wychowanie praktyczne nie wymaga specyalizacyi. Rodzice, którzy mają pokierować rozwojem charakteru u dziecka, uczą go tego i ćwiczą go w tem, czego ich uczono, w czem ich ćwiczono i do czego sami są obowiązani. Z doświadczenia znają oni już i trudności życia i wartość zasad moralnych, na których się wychowanie opiera, a przyrodzone uczucia przywiązania do dzieci, troska o ich przyszłość nieraz instynktownie kierują ich pracą wychowawczą nawet wtedy, gdy nie zdają sobie świadomie sprawy z racyi, dla których tego lub owego od dziecka żądają. Gruntowna kultura obyczajowa, na religii i życiu narodowem oparta, jest tu tą konieczną podstawą, bez której rodzina nie jest w stanie wypełnić swoich zadań wychowawczych.

Inaczej ma się rzecz z wykształceniem. To ostatnie przekracza zakres działalności rodziny i nawet na najniższym elementarnym stopniu nie może jej być pozostawiane. Dzięki swemu charakterowi odśrodkowemu, dzięki koniecznej specyalizacyi, która między innemi i to sprawia, że nie wystarcza coś umieć samemu, ażeby umieć tego innych nauczać, rodzina nie jest w stanie dać dzieciom ani tego wyćwiczenia umysłu, ani tych wiadomości potrzebnych im w życiu, z których wykształcenie się składa; do tego trzeba specyalnego przygotowania nauczycielskiego. Toteż wszędzie gdzie ludzie kulturalnie żyją, dla celów nauczania powstają szkoły i kto wie, czy szkoła choćby w najniższym stadyum rozwoju, nie jest najistotniejszą cechą odróżniającą narody kulturalne od narodów dzikich, żyjących w tak zwanym stanie natury.

Naturalnie że szkoła powołana do życia dla wypełnienia tego, co przewyższa zakres działania rodziny, nie może abstrahować od właściwych zadań rodziny t. j. od wychowania. I kształcenie charakterów musi ona uwzględniać w swej działalności, nie tylko za pomocą wiadomości jakich udziela, ale i zapomocą porządku w swem funkcyonowaniu, karności i pilności jakiej wymaga od ucznia. Jakeśmy już wyżej zaznaczyli, samo uczenie się jako takie wymaga dużych i wytrwałych wysiłków woli i, gdy jest dobrze pokierowane, ma już dużą doniosłość wychowawczą. A jednak wychowanie pozostanie zawsze drugorzędnem zadaniem szkoły ustępującem pierwszego miejsca kształceniu i nie sposób pod względem wychowawczym za dużych wymagań szkole stawiać i czynić ją w pierwszej linii odpowiedzialną za braki w wychowaniu młodych pokoleń.

W samej rzeczy w porównaniu z rodziną, szkoła rozporządza bardzo słabą możnością wychowywania. Dzieci przebywają w jej murach dużo mniej czasu niż w rodzinie, najwyżej 1/4 część powszedniego dnia, zaś w niedziele i święta i w czasie wakacyi nie mają z nią niemal żadnego kontaktu. Pozatem godziny spędzone na ławie szkolnej są chwilami, w których dziecko najbardziej jest oderwane od konkretnego życia; żyje ono tam w pewnej atmosferze sztucznie wytworzonej dla potrzeb kształcenia umysłu, ale która sama przez się nie przygotowuje do życia, życia bowiem nie spędza się w milczeniu na ławkach pod okiem nauczyciela. Po za niezaprzeczonemi tedy czynnikami wychowawczemi, jakiemi szkoła rozporządza, działalność jej wychowawcza zawsze będzie jednostronna; całokształtu życia młodzieży objąć ona nie może i nie sposób od niej tego wymagać, jak również nie sposób jej w pierwszej linii winić za braki charakterów, na jakie skarżymy się powszechnie.

Pod tym względem nieraz czyni się naszej szkole niesłuszne zarzuty i stawia się jej wymagania, które wykraczają poza sferę jej działalności. Zapewne, że dużo jest w niej do zreformowania i że swe częściowe zadania wychowawcze mogłaby sobie lepiej uświadomić i gruntowniej wypełnić. Ale choćby nawet zaczęła je wykonywać bez zarzutu, całe jej zabiegi w tym kierunku na nic się nie zdadzą, póki właściwy czynnik wychowawczy, jakim jest rodzina nie zacznie lepiej spełniać swych zadań. Źle wychowanej w domu młodzieży szkoła nie przerobi radykalnie, tembardziej, że i sama swój personal nauczycielski czerpać będzie w tem środowisku, w którem niedomagania wychowania rodzinnego tak bardzo dają się odczuwać brakiem silnie wychowanych charakterów.

Ze względu więc i na najogólniejsze potrzeby społeczne i na te szczególne potrzeby reformy szkolnej, o której tyle się w naszych czasach mówi i pisze, koniecznem się wydaje sięgnąć głębiej do źródła i rozpocząć na szeroką skalę akcyę w celu podniesienia w naszem społeczeństwie na wyższy poziom wychowania rodzinnego. Za rodziną pójdzie i szkoła.

O. Woroniecki O. P.

U źródeł potęgi narodowej Niemiec.

I.

W 1808 roku wydane zostały słynne „Mowy do narodu niemieckiego“, które wygłaszał J. G. Fichte, pod wrażeniem niebezpieczeństwa grożącego Niemcom w epoce katastrof wojennych i rozbicia wewnętrznego. Obawa o zagrożoną samodzielność państwową, w tragicznym dla Niemiec roku 1806 skłoniła wielkiego filozofa do zwrócenia swej głębokiej, prawodawczej myśli z wyżyn abstrakcyi ku sprawom narodowym. „Mowy“ Fichtego zawierają, oprócz porywającej apologii patryotyzmu, wskazania publicystyczne co do środków ratunku w dniach klęski. Był wtedy w Berlinie gubernatorem marszałek francuski, a cały kraj zniszczony przez wojnę tak, jak dziś ziemie polskie. Ale fortuna kołem się toczy. Jeżeli energia gromadzących się bez przerwy sił człowieka i natury stwarza historyczną konieczność, to jednak myśl ludzka może stanąć w poprzek biegowi wypadków; może wywierać wpływ na energię i siłę mas, pędzących na arenie dziejowej. Myśl ludzka — nieuchwytna i niewidzialna, niby prąd elektryczny, zdolna kierować uczuciem i wolą milionów w ślepej napozór walce dookolnej — myśl jednego człowieka narzucić może całemu pokoleniu i pokoleniom wnuków wolę do potęgi, otwierając oczy na drogi i cele narodowych przeznaczeń.

Tak świadomą swej mocy, a jednocześnie owocną (to już można stwierdzić naocznie), tak historycznie ważną była myśl Fichtego, zamykająca w sobie syntezę woli narodu. Dziś w perspektywie czasu możemy oglądać już rezultat tych myśli, które niewątpliwie zaważyły na historyi Niemiec, i w „Mowach“ odnaleść sprawdzian wartości duchowych w świecie materyalnych walk

o materyalne dobra. „Mowy do Narodu Niemieckiego" są filozoficznem uzasadnieniem zarówno militaryzmu pruskiego, jak podziwu godnej „niemieckiej organizacyi" i „niemieckiej sprężystości". Niezawodnie też wszystkie tak złe jak dobre strony rad Fichtego wydadzą owoce i wykażą swą dla narodu zgubność lub pożytek. Dla nas zestawienie tych obcych wysiłków i dążeń z naszemi będzie obecnie bardzo na czasie, ze względu na wspomnianą już analogię stanu Niemiec ówczesnych i Polski dzisiejszej.

* * *

„Żaden naród podbity nie może podnieść się sam ze stanu podległości przy pomocy zwykłych i dotąd używanych środków". Tak twierdzi Fichte na tej zasadzie, że jeśli opór takiego narodu był bezowocny, gdy był on jeszcze w posiadaniu wszystkich swoich sił, to tembardziej musi być bezowocnym, gdy większość tych sił mu odjęto. „Nie może więc liczyć na siebie, a tembardziej na zwycięzcę".

A na innem miejscu Fichte stwierdza z całą stanowczością, że „żaden człowiek i żaden Bóg i żadne zdarzenie leżące w sferze możliwości", nie pomoże Niemcom, jeśli pomocy potrzebować będą... tylko sami sobie pomódz będą mogli i musieli. Ztąd wniosek: należy poznać własne siły, a przedewszystkiem swe niewyzyskane siły, i środki ratunku. Należy zawczasu za pomocą narodowego wychowania przygotować naród do zupełnie nowego życia, wydobyć nowe siły, stworzyć wielką jedność, obejmującą wszystkich bez wyjątku, bez różnicy stanów, stworzyć naród.

Nowe wychowanie narodowe rozpoczęte być musi od całkowitego zniesienia pojęcia swobody woli, czyli wolnego „niezdecydowanego wahania się między dobrem a złem", chodzi bowiem o stworzenie z każdej indywidualności określonego bytu, który nie może być czem innem, niż tem, czem ma być. Tak uformowana indywidualność nie będzie mogła chcieć czego innego poza pewną ściśle określoną, stałą wolą. Unicestwiona swoboda woli przemieni się w konieczność, w mus.

Tę mocną, bez wahań i odchyleń, wolę ma tworzyć nowe wychowanie według prawideł pewnych i bez wyjątku skutecznych. Musi samo być bezwzględne przy stwarzaniu bezwzględności.

Dawniejsza sztuka państwowa, wychowując „człowieka społecznego“, starała się sztucznie z osobistym egoizmem związać, za pomocą czynników bojaźni i nadziei, egoizm natury społecznej, interesy ogółu. Tymczasem te zewnętrzne czynniki (bojaźni i nadziei) powierzchownie tylko mogły stwarzać dobrych, względnie nieszkodliwych obywateli, którzy w gruncie rzeczy subjektywnie mogli pozostawać egoistami, a więc złymi. Nowe wychowanie powinno na miejscu egoizmu zaszczepić ogólniejszą miłość w duszach wszystkich, którzy stanowić mają naród.

Zmienić upodobania wewnętrzne można tą drogą, aby wyobrażenia rzeczywistości poprzedzały rzeczywistość, i to jest pierwszem zadaniem nowego wychowania. Co innego jest bowiem lubić rzeczywistość taką, jak ją zastaliśmy, i nic przeciwko niej nie mieć, a co innego lubić to, co może się urzeczywistnić, do czego trzeba wytężenia wszystkich sił naszych, aby się mogło urzeczywistnić. Pierwsze upodobanie jest bierne, drugie — czynne, twórcze.

Bez wątpienia ten twórczy charakter upodobań opierać się musi na prawidłach, na powszechnych i nie uznających wyjątku prawach duchowej natury człowieka. Chodzi właśnie o pobudzenie prawidłowo postępującej działalności duchowej, a w wychowaniu dawniejszem chodziło tylko o nabycie wiadomości, o poznanie pewnego gotowego materyału; w nowem — poznanie wypływa jako konsekwencya naturalna z owej pobudzonej działalności ducha.

Szkoła ma dać nietylko obraz społecznego ładu stworzonego przez ludzi, ale też zamiłowanie tego ładu. Nie tyle słowo ma być środkiem ku temu, ile czyn. Chodzi bowiem nietylko o przedstawienie umiłowania ładu społecznego jako obowiązującego ideału i o poznanie podstaw, na których opiera się społeczeństwo, lecz także o zastosowanie tych zasad do samej szkoły jako typu społeczeństwa na małą skalę.

Jednostka ma tu być podporządkowana całości i dla niej musi pracować, i to nietylko pod względem pracy umysłowej, lecz również fizycznej. Powinny obowiązywać zasady wzajemnej pomocy i odpowiedzialności. „Zdolniejsi nieraz muszą czuwać, gdy inni śpią“, a pobudzać do tej odpowiedzialnej i pełnej poświęcenia pracy powinna nie nadzieja pochwał lub nagród, lecz radość z działania dla dobra całości i z owoców pomyślnych tego działania.

W ten sposób wychowanie szkolne wyrobi już w młodzieży poczucie sił i zasady działalności dla późniejszego współżycia w społeczeństwie.

* * *

Nowe wychowanie nie tylko przygotowuje do współżycia członków społeczeństwa objętego pojęciem „współczesnego pokolenia“; uwzględnia ono przedewszystkiem społeczeństwo ludzkie, pojęte szerzej i w człowieku widzi ogniwo nieprzerwanego łańcucha duchowego życia wogóle. Do tego celu prowadzi równomierne kształcenie rozumu i woli; jasny rozum i czysta wola tworzą człowieka doskonałym.

Zkądinąd Fichte ogranicza pojęcie społeczeństwa w czasie i w przestrzeni do idei narodu wybranego i jest zdania, że Niemcy powołani są do zajęcia przodującego stanowiska w tem tworzeniu wzoru doskonałej ludzkości. Nie Germanowie bynajmniej, tylko Niemcy, do których zalicza i ludy skandynawskie. Inne ludy germańskiego pochodzenia Fichte skazuje na zupełną zagładę kulturalną właśnie dla tego, że język pierwotny germański zachowany przez Niemców, tamte narody skaziły martwemi pierwiastkami cudzemi. A ponieważ według Fichtego raczej mowa tworzy ludzi niż ludzie mowę, przeto narody z mową „martwą“ nie mogą same rozwijać się według owej życiotwórczej potęgi „żywego“ języka, którą Fichte nazywa *„eine lebendige Sprachkraft der Natur“*. Daje to filozofowi niemieckiemu szerokie pole do szowinistycznych uogólnień; a więc Niemcy są zdolni do rozwoju kultury duchowej, do pracy poważnej, do uczuć głębokich, do demokratyzacyi społecznej, gdy „pozostali germanowie“ tylko do lekkiego wykorzystania szczęśliwie od natury pozyskanych uzdolnień, do kultury powierzchownej jako przywileju jednej klasy społecznej, wyodrębniającej się od ludu, który jest ślepem narzędziem jej planów.

Inne narody Europy poprostu nie mają według Fichtego danych do rywalizacyi *(andere neueuropäische Nationen, als z. B. die von slavischer Abstammung sich von dem übrigen Europa noch nicht so klar entwickelt zu haben scheinen, dass eine bestimmte Zeichnung von ihnen möglich sei* — co znaczy po polsku: „inne nowoeuropejskie narody, np. słowiańskiego pochodzenia, nie rozwinęły się jeszcze, jak się zdaje, tak wyraźnie, w porównaniu z resztą Europy, aby możliwe było określone ich scharakteryzowanie“).

Szowinistyczne pojmowanie swego narodu jako „narodu wybranego“ Fichte próbuje uzasadnić także historycznie i dochodzi tą drogą do wniosku, że Niemcy są jedynym w Europie narodem, który już od wieków czynem, na przykładzie organizacyi stanu miejskiego, udowodnił, że jest zdolny do rządów republikańskich.

Tu jednak Fichte robi wiele zastrzeżeń, oczyszczających go jako myśliciela, z pozornie niezrozumiałych wprost niedorzeczności. W mowie siódmej nie waha się przyznać, że „Niemcom... mało już pozostało niemieckości“ (str. 105); tamże wyjaśnia, co rozumie pod niemieckością: „*deutsch — d. i. ursprünglich*“ (str. 108). A istotą życia „pierwotnego“ jest swoboda (str. 115) (swoboda nie w znaczeniu nieokreślonego wahania się między wieloma równoznacznemi możliwościami, lecz życie swobodne, t. j. opanowanie tego wahania przez czyn jako przejaw woli; jest to swoboda w wyższem pojęciu, z punktu widzenia owego łańcucha pokoleń, swoboda ducha, która dla pojedyńczych ogniw jest koniecznością — —).

Z tego punktu widzenia niemieckość jest dla Fichtego tylko algebraicznym symbolem zupełnie już kosmopolitycznie pojętej ludzkości. „Ktokolwiek wierzy w swobodę ducha i pragnie postępującego stale kształtowania się duchowości przez swobodę, jest z naszego rodu i do nas należy, jakimbądź mówi językiem; kto zaś wierzy w zacofanie, wstecznictwo i stawia martwą naturę u steru rządów świata, ten niezależnie od tego, gdzie jest urodzony i jakim mówi językiem, jest nie-Niemcem i obcym dla nas i pozostaje tylko życzyć sobie, aby co rychlej od nas odszedł“ (str. 121—122).

Przyjmując te zastrzeżenia do wiadomości, możemy, śledząc dalszy bieg myśli Fichtego, wybrać zdrowe ziarna jego poglądów na wychowanie narodowe, odrzucając istotnie zaciemniające i odstraszające symbole, pod któremi jednak właściwie ukrywało się pojęcie pierworodnych sił ducha ludzkiego, dążącego do wiecznego rozwoju w nieprzerwanym łańcuchu pokoleń.

II.

Istnienie narodu i ojczyzny jest równoznaczne z pojęciem „wiecznego bytu“ na ziemi. Naród jako taki jest jedyną formą tej ziemskiej wieczności i różni się zasadniczo od państwa, które two-

rzy społeczny porządek, zapewniając dzięki wewnętrznemu pokojowi i prawom dobrobyt swym obywatelom. Ale ten materyalny dobrobyt jest tylko środkiem i warunkiem dobrobytu duchowego, nad którym czuwa miłość ojczyzny. Ona jest władzą najwyższą, której podlega nawet władza państwowa; miłość ojczyzny dąży do tego, aby na świecie zapanowała swoboda, boski pierwiastek wiecznego rozwoju ku doskonałości rodzaju ludzkiego.

Gdy naród traci swój byt państwowy, gdy nad niedojrzałemi, niepełnoletniemi dziećmi zamiast rodziców lub krewnych obcy obejmują pieczę, to należy przedewszystkiem wychować te dzieci, aby stały się kiedyś pełnoletnimi, a nie niewolnikami na zawsze.

Dawniej uważano świat zmysłowy za jedynie prawdziwy i rzeczywiście istniejący. Nowe wychowanie, naodwrót, tylko świat myśli uznaje za prawdziwy i rzeczywisty i dlatego musi być „wytworzony“ duch, jako podstawa nowego życia. Duch wyższej miłości ojczyzny, duch wieczności życia ziemskiego w formie niezniszczalnie trwałego narodu. Ta miłość już sama z siebie stworzy mężnych obrońców ojczyzny i spokojnych, prawych obywateli; stworzy całkowitego człowieka.

Co do metody „nowego wychowania“, którą — zdaniem Fichtego — najlepiej opracował w swych pismach pedagogicznych J. H. Pestalozzi, opiera się ona na zasadzie nauczania poglądowego. Pestalozzi kładł jednak jeszcze zbyt duży nacisk na czytanie i pisanie, ze względów praktycznych chcąc jaknajprędzej przygotować do życia dzieci rodziców ubogich. Fichte natomiast, mając na myśli wychowanie całego narodu w ten sposób, aby ubodzy („niższe warstwy, *plebs*“) wogóle przestali nadal istnieć, odrzuca wszelkie półśrodki; — połowiczne wykształcenie jest według niego tyle warte co żadne. Dziecko musi swobodnie wejść w świat myśli, zapomnieć o atmosferze trosk w domu rodziców, zwłaszcza w sferze robotniczej, nauczyć się abecadła uczuć i pojęć, aż do poznania i pokochania społecznego ładu. Jednocześnie musi rozwijać siły cielesne — i to wszystko stanowi pierwszą część nowego wychowania, niby wstęp do drugiej — do wychowania obywatelsko-religijnego.

Wielu ludzi pozostawało dawniej przez całe życie dziećmi. Zadaniem wychowania zaś jest stwarzać ludzi dojrzałych i pełnych silnego charakteru. Źródłem obyczajności jest panowanie nad sobą, przyzwyciężanie siebie, podporządkowanie swych egoistycznych upo-

dobań interesom „całości“. Ale te cnoty mają się ujawniać dobrowolnie, a nie pod przymusem; cechą dojrzałości jest odpowiedzialność przed samym sobą za swoje czyny i poglądy. Czy jednak możliwe jest wyrobienie takiego zamiłowania do sprawiedliwości i dobra? Ponieważ człowiek nie może zrobić coś z niczego, byłoby to niemożliwe, gdyby przyjąć egoizm za podstawę charakteru; jednak Fichte twierdzi kategorycznie, że każde dziecko posiada wrodzone skłonności etyczne i że miłość jest głównym składowym czynnikiem istoty ludzkiej.

Wychowanie powinno więc rozwinąć to wrodzone zamiłowanie dziecka do ładu oraz uczucia altruistyczne, a jednocześnie pozbawić dziecko możności naśladowania złych przykładów. Dlatego dzieci należy całkowicie odsunąć od obcowania z dorosłymi i oddać je pod wyłączną opiekę nauczycieli i wychowawców. Powinny one żyć w małej gminie jako pierwowzorze przyszłych stosunków społecznych; z tego między innemi powodu szkoły nie mogą osobno kształcić chłopców i dziewcząt — koedukacya jest naturalnym wstępem i przygotowaniem do późniejszego współżycia i współpracy mężczyzn i kobiet.

Pestalozzi propagował połączenie pracy umysłowej z fizyczną w ten sposób, aby dzieci zajmowały się ręcznemi robotami w czasie lekcyi. Fichte jest zdania, że praca myślowa wymaga pełnego skupienia, ale obok niej i na równi traktować się powinno pracę ręczną: uprawę roli, pracę koło domu i bydła i wogóle wytwarzanie tych przedmiotów, jakie mogą być potrzebne w małem państwie szkoły. Poznanie życia roślinnego i zwierzęcego oraz praw mechaniki szłoby w parze z podniesieniem szacunku dla pracy fizycznej i z jej uszlachetnieniem.

Główną zasadą ekonomicznego bytu tych małych państewek będzie to, że wszystkie artykuły spożywcze, odzież, a nawet wszystkie narzędzia pracy, w miarę możności mają być przyrządzone lub wykonane siłami własnemi. Jeżeli coś nie da się w szkole wykonać, należy to wypożyczyć i w określonym terminie oddać. Każdy poszczególny członek małego państwa pracować ma ze wszystkich sił swoich dla utrzymania samoistności wspólnego dodra, dla całości, która należy do wszystkich. Ta zasada podporządkowania się wspólnej wartości stwarza niezatarty wzór dla późniejszych stosunków między członkami państwa.

Jeżeli nowe wychowanie narodowe ma być najpilniejszą koniecznością, którą miłość ojczyzny nakazuje jako jedyny środek ratunku i jedyną drogę w dążeniu do wskrzeszenia potęgi państwowej, to któż powołany jest do przeprowadzenia i wykonania tych planów?

W czasach nowożytnych wychowaniem znajmował się kościół albo rodzice, którzy uważali go za swoją prywatną sprawę. Ponieważ jednak jest to sprawa nietylko publiczna, ale i największej doniosłości dla bytu narodowego, przeto zająć się nią winien cały naród. Rodzice muszą się zrzec wychowywania swych dzieci w domu, a o ile nie chcieliby się na to zgodzić, trzebaby zastosować przymus. Żadne państwo nie waha się odbierać rodzicom ich dzieci w pewnym wieku dla celów wojny, a więc zmusza rodziców do najwyższego poświęcenia, tembardziej nie można się wahać, gdy chodzi o pozbawienie tylko swobody osobistej dla celów swobody w wyższem pojęciu. Państwo jako najwyższy opiekun i zastępca, podobnie jak opiekun niepełnoletnich, ma prawo przymusu, jeżeli chodzi o dobro tych, którymi się opiekuje, według sumienia swego.

Tylko organizacya ogólno-narodowa może ująć w swe ręce ster „nowego wychowania“, które ma objąć wszystkich bez wyjątku obywateli. Tylko ona może swych wychowańców przepoić duchem narodowym i miłością ojczyzny, jako całości. Cały naród stanie się przez to jedną wielką organizacyą wojskową i przemysłową, bo każdy wychowaniec będzie dobrowolnie zarówno obrońcą ojczyzny, jak dzielnym twórcą w pewnym dziale przemysłu.

Najtrudniejszą rzeczą jest zrobić początek i dlatego Fichte przewiduje, że państwo niemieckie, które pierwsze z pośród wszystkich innych wprowadzi w czyn ten wielki plan wychowania, uznane zostanie przez wdzięczność za właściwego założyciela narodu i będzie wzorem dla innych, a w ciągu 25 lat spodziewa się już widzieć owoce wielkiej reformy.

Gdyby jednak żadna organizacya państwowa nie podjęła tych zadań, początek powinnyby zrobić jednostki prywatne: wielcy właściciele ziemscy i wybitni obywatele miast. Sfinansowanie tego olbrzymiego przedsięwzięcia nie wymaga zresztą tak wielkich środków, jakby się zdawało: chodzi przedewszystkiem o budynki oraz o siły nauczycielskie. Samo utrzymanie szkół i uczniów powinno, w myśl wyłożonych poprzednio zasad, opierać się na własnych siłach.

* * *

Nie wszystkie myśli Fichtego znalazły posłuch w społeczeństwie niemieckiem i plan wychowania narodowego w ramach pomysłu wielkiego filozofa nigdy nie został wykonany. Zmieniły się korzystnie polityczne warunki i gdy minęło niebezpieczeństwo utraty samodzielnego bytu, po upadku Napoleona — Niemcy rozpoczęły okres nie tyle może radykalnych reform, ile poważnej pracy „organicznej“. Natomiast znalazły niewątpliwie posłuch myśli o potrzebie pracy dla dobra ojczyzny, o nienawiści dla najeźdźców, o dumie narodowej, o posłannictwie narodu. W jednej z ostatnich „Mów“ czytamy takie wezwanie: „Dajmy gościom naszym w upominku na drogę do ich ojczyzny, do której wreszcie kiedyś będą powracali, obraz wiernego przywiązania i miłości ojczyzny, poszanowania praw i obowiązków i wszystkich cnót domowych i obywatelskich“. Jeżeli też nie cały plan wychowania narodowego, streszczony powyżej, dałby się zastosować do naszych stosunków, to niektóre postulaty Fichtego powinny dobrze być przez nas poznane i zastosowane w potrzebie.

Henryk Juszkiewicz.

Pomorze polskie w przeszłości i dziś.

II.

Terytorym kaszubskie w obrębie prowincyi zachodnio-pruskiej zajmuje około 5000 kilometrów kwadratowych. Przestrzeń ta obejmuje powiaty: pucki, wejherowski, niewielki kawałek gdańskiego-górskiego, zresztą poza tem przeważnie zniemczonego, — miasto Gdańsk także tu wliczamy, bo choć jest ono właściwie prawie czysto niemieckie, to jednak zawsze tam mieszka parę tysięcy Kaszubów, jako ludność przeważnie wyrobnicza —, dalej powiat kartuski, większą część (zachodnią) kościerskiego, mniej więcej połowę chojnickiego i północno-wschodni kąt człuchowskiego.

W wymienionych tu powiatach Prus Zachodnich, względnie w częściach powiatów posiadających ludność kaszubską, mieszkało wedle ostatniego spisu ludności, jaki się odbył w Cesarstwie Niemieckiem dnia 1. grudnia 1910 r. ogółem ludności przeszło 400 tysięcy, a licząc bez miasta Gdańska około ćwierć miliona. Wśród tej ludności statystyka z r. 1910 zalicza do rubryki języka polskiego lub kaszubskiego i do obydwóch kategoryi dwujęzycznych razem osób 153.219, a odliczywszy Gdańsk 147.738, czyli, że ludność polsko-kaszubska stanowiła wówczas na terytoryum rdzennie kaszubskiem około 59%.

Cyfry te udało się uzyskać w sposób następujący: Trzy powiaty północno-kaszubskie, t. j. pucki, wejherowski i kartuski, w całości wchodzą w skład terytoryum kaszubskiego, tutaj więc liczbę ludności polsko-kaszubskiej wprost podaje statystyka urzędowa. Wynosi ona: 99.779 osób. W powiecie gdańskim — górskim północna część po rzeczkę Radunię należy do obszaru językowego kaszubskiego, na południe od Raduni ludność polska, o ile się ostała

przed germanizacyą, posługuje się gwarą kociewską. Polacy stanowią tam jednak tylko w dwóch gminach większość, a w kilku nieco pokaźniejsze mniejszości, razem około 700 głów, a że cały powiat liczy ludności polskiej i kaszubskiej wraz z dwujęzyczną 6069 osób, przeto na część kaszubską powiatu pozostaje 5369 Polako-Kaszubów.

Do obliczenia zaś siły liczebnej ludności polskiej w kaszubskich częściach powiatów kościerskiego, chojnickiego i człuchowskiego, tworzących południową Kaszubszczyznę, pomocną być może praca p. t.: „Ilu Kaszubów jest na Kaszubach", zamieszczona w nr. 8. z r. 1909 czasopisma „Gryf". Autor owej pracy na podstawie map Ramułta i Dr. Nitscha wydziela z wymienionych 3 powiatów terytorya kaszubskie i oblicza żyjącą tam ludność polsko-kaszubską. Obliczenia te opierają się na spisie ludności z r. 1905 i nie uwzględniają wcale zapisanych do rubryki dwujęzycznych. Dlatego należy cyfry tam podane uzupełnić liczbą dwujęzycznych, która na część kaszubską każdego z poszczególnych powiatów wypada. Chcąc zaś otrzymać liczby dla roku 1910, trzeba przyjąć taki przyrost procentowy, jaki był faktycznie wśród ludności polskiej danego powiatu w okresie lat 1905—1910. Spółczynnik ten wynosi dla powiatu kościerskiego 6·8%, dla chojnickiego 7·7%, dla człuchowskiego 3%. Dokonawszy tego obliczenia, przekonamy się, że ludność polska kaszubskiej części powiatu kościerskiego wzrosła od r. 1905 do 1910 o 950 głów, t. j. z 13.970 na 14.920; chojnickiego o 1350, t. j. z 17.556 na 18.907; człuchowskiego zaś o 269 głów, a mianowicie z 8988 na 9257. Razem więc na Kaszubszczyźnie południowej wzrosła ludność polska w ciągu tych pięciu lat z 40.514 na 43.084 osób czyli o 6·34%.

Dla porównania i obliczenia wzrostu względnego warto przytoczyć odnośne cyfry całej regencyi Kwidzyńskiej, w skład której wchodzi $^2/_3$ terytoryum Kaszub południowych. Wzrost całej ludności tej regencyi w temże samem pięcioleciu wynosił 2·94%, samej zaś ludności polskiej 3·40%. Widać z tego, że polszczyzna silniej wzrasta w południowo-kaszubskich powiatach niż w innych. W trzech zaś powiatach północno-kaszubskich, wchodzących w całości w skład terytoryum kaszubskiego, oraz w północnej części powiatu gdańskiego-górskiego ludność polsko-kaszubska podniosła się z 101.355 na 105.148, t. j. zaledwie o 3·74%, gdy równocześnie cała ludność regencyi gdańskiej, do której należą te powiaty, powiększyła się

o 4·69%, a ludność polska o 6·04%. Na północnej więc Kaszubszczyźnie polskość wzrasta słabiej niż w innych powiatach Prus Zachodnich. Jeśli wreszcie zesumujemy całe terytoryum kaszubskie, to zobaczymy, że ludność polska wynosiła w r. 1905: 142.569 głów, w r. zaś 1910: 148.232, t. zn. wzrosła o 4·48%. Równocześnie w tym samym czasie cała ludność prowincyi zachodniopruskiej wzrosła o 3·69%, ludność zaś polska o 4·29%.

Przypuściwszy, że ludność polska w poszczególnych powiatach kaszubskich wzrastała od r. 1910 w tem samem tempie, co w poprzednich 5 latach, to w chwili wybuchu wojny, t. j. 1. sierpnia 1914 r., — ten momeut bowiem przyjmujemy jako ostatni, dla którego dokonać można prawdopodobnych obliczeń, — wynosiła ona na północnych Kaszubach bez Gdańska 110.030, na Kaszubach południowych zaś 45.100, razem na całem terytoryum czysto kaszubskiem Prus Zachodnich 155.130 osób narodowości polskiej.

Doliczywszy do tego Polaków mieszkających w Gdańsku, których liczba według spisu ludności z r. 1910 wynosiła 5381 (w tem 1895 dwujęzycznych), to 1. sierpnia 1914 r., uwzględniając roczny przyrost 1·4%, wynosić była powinna 5770, otrzymamy razem 160,900 ludności polskiej na kaszubskim obszarze językowym prowincyi zachodnio-pruskiej.

Terytoryum kaszubskie ciągnie się wązkim, a długim na 120 klm pasem z południa na północ, gdzie przypiera do morza. Polsko-kaszubskich miejscowości nadmorskich jest zaledwie dwadzieścia kilka. Biegną one nieprzerwanie brzegiem t. zw. Małego Morza czyli zatoki gdańskiej od Sopot do Pucka (sam Puck jest silnie zniemczony), a następnie do Wielkiej Wsi, gdzie zaczyna się już pełny Bałtyk czyli według tamtejszej terminologii Wielkie Morze. Kilka tylko wsi kaszubskich dotyka Wielkiego Morza. Na zachodzie w całej swojej długości graniczy Kaszubszczyzna z prowincyą pomorską.

Granicznymi powiatami prowincyi pomorskiej są na północy lęborski, na południu bytowski, a także na małej przestrzeni, wązkim pasem między te dwa wciskający się powiat słupski. Przytykają one do wszystkich powiatów kaszubskich Prus Zachodnich, z wyjątkiem gdańskiego — wyżynnego i tucholskiego.

Powiaty bytowski i lęborski nominalnie zawsze od pokoju toruńskiego (1466), faktycznie zaś tylko w XVII. wieku i to za-

ledwie przez 20 lat należące do Polski, posiadają swoją odrębną historyę.

Powiat lęborski, to dawniejsza kasztelania belgardzka nad Lebą, a więc część Pomorza górnego, które przy podziale Pomorza polskiego na początku XIV. wieku pomiędzy Brandenburczyków i Krzyżaków, tym ostatnim się dostało. Terytoryum natomiast dzisiejszego powiatu bytowskiego było, jak to poprzednio już wzmiankowano, częścią ziemi słupskiej, nabytku książąt szczecińskich, i później dopiero wydzielone stamtąd miasto Bytów z okolicą nabyte zostaje przez Krzyżaków i połączone w ten sposób z Pomorzem wschodniem. Nowonabyte ziemie starał się Zakon zagospodarować, a przytem zaludnić osadnikami niemieckimi. W ten sposób powstał około XIV. wieku Lęborz, jako niemieckie miasto, założone przez Krzyżaków pod pierwotną nazwą Lewinburga. Że jednak rodzimy żywioł kaszubsko-polski tych ziem istniał nietylko w najniższych warstwach, ale także wśród szlachty i w miastach i posiadał rozwinięte poczucie narodowe, świadczy fakt, iż gdy w r. 1440 tworzył się w Kwidzyniu związek pruski, mający na celu zrzucenie jarzma krzyżackiego, przystąpiły do niego miasta Lęborg i Leba, a także szlachta lęborska, którą reprezentował tam Ścibor Grela [1]). Eryk II., książę pomorski, korzystając z powstałaj wówczas między Polską a Zakonem t. zw. trzynastoletniej wojny, zajął oba pograniczne powiaty i nie zwrócił ich, mimo że pokój toruński wszystkie posiadłości krzyżackie na Pomorzu przyznawał Polsce, a miasta Bytów i Lęborg wyraźnie traktat wymieniał. Tak nieuregulowany stan prawny tych ziem pozostał przez czas dłuższy, aż dopiero Zygmunt I. załatwił tę sprawę połowicznie, oddając je jako lenno Polski książętom pomorskim z zastrzeżeniem, iż w razie wymarcia dynastyi pomorskiej obie ziemie wracają do Polski. Przejście pod faktyczną władzę zniemczałych książąt pomorskich i znalezienie się w organizmie politycznym prawie jednolicie niemieckim, gdyż kaszubska mowa rozbrzmiewała wtedy już tylko w okolicach Słupska i Miastka, stanowiło dla rodzimego żywiołu tych powiatów moment pod względem narodowościowym wysoce niekorzystny.

Stan ten pogorszył jeszcze zalew protestantyzmu, który w XVI. wieku, niszcząc organizacyę kościelną katolicką, zerwał związek

---

[1]) A. J. Parczewski: „Szczątki kaszubskie w prowincyi pomorskiej“. Poznań 1896, str. 23.

z Polską, jaki jeszcze posiadał powiat lęborski przez przynależność swoją do dyecezyi kujawskiej.

Dążenie do połączenia się z Polską i tęsknota do Macierzy żyły nieustannie w tych najdalej ku zachodowi wysuniętych ziemiach polskich. Szlachta lęborska niejednokrotnie domagała się prawa apelacyi do sądów królewskich polskich od wyroków księcia pomorskiego, a idea oderwania się od niemieckiego państewka wydała nawet męczennika w osobie szlachcica pomorskiego Joachima Damica, powieszonego pod Bytowem na wzgórzu zwanem dotąd szubieniczną górą [1]).

I w Polsce, zwłaszcza w Prusach Królewskich, jako najbliższych tym ziemiom, nie zapominano zupełnie o sprawie Lęborga i Bytowa. Sejmiki pruskie niejednokrotnie o niej dyskutowały, wprost nawet domagając się inkorporacyi obu powiatów; posłowie pruscy wytaczali ją na walnych sejmach warszawskich. Rząd polski nie zajął się jednak rewindykacyą tych ziem, aż dopóki na Bogusławie XIV. nie wygasł w r. 1637 ród książąt pomorskich.

Wypełnienie się dopiero tego warunku przewidzianego w nadaniu lennem Zygmunta I., zwróciło te powiaty Polsce. Wcielono je do województwa pomorskiego, nadawszy im ustrój administracyjny i sądownictwo polskie. Na sejmik generalny pruski i na sejm warszawski wybierać miały dwóch posłów. Już jednak po upływie zaledwie 20 lat, gdy Polska za Jana Kazimierza, zawikłana w nader ciężką wojnę szwedzką, z całym wysiłkiem bronić musiała swej egzystencyi, Wielki Elektor Fryderyk Wilhelm, wykorzystując sposobność, zajmuje starostwo drahimskie (obszaru 495 klm^2) na Pomorzu polskiem, jako zastaw za pożyczone 100 tysięcy talarów, którego już jednak nigdy nie zwrócił, w zamian zaś za pewną pomoc zbrojną, jakiej zobowiązał się Polsce udzielać, otrzymał w lenno na mocy traktatów welawskiego i bydgoskiego 1657 r. powiaty lęborski i bytowski (obszaru łącznie około 1600 klm^2). Nigdy już one odtąd nie miały wrócić do Polski. Po rozbiorach Polski przyłączono je na czas jakiś do Prus Zachodnich, wydzielone jednak z nich w roku 1803, od tego czasu wchodzą w skład prowincyi pomorskiej.

---

[1]) A. J. Parczewski: „Szczątki kaszubskie w prowincyi pomorskiej“. Poznań 1896, str. 30.

Na całem Pomorzu zachodniem do zniemczenia ludności tubylczej przyczyniła się protestantyzacya tego kraju. W dwu wymienionych powiatach, podczas ich 20-letniej przynależności do Polski, nastąpiła częściowa restytucya katolicyzmu, dlatego i dziś, zwłaszcza w powiecie bytowskim, pewien odsetek ludności jest katolicki, wskutek czego przechował się tam gdzieniegdzie żywioł kaszubski związany ściśle z katolicyzmem.

Dzięki konfiguracyi powiatu bytowskiego, który silnie występując ku wschodowi, głęboko wrzyna się w terytoryum Prus Zachodnich i z trzech stron objęty powiatami kaszubskimi, posiada długą stosunkowo linię zetknięcia się z terytoryum językowo kaszubskiem, wskutek czego dość wielka liczba wsi pogranicznych nie uległa jeszcze wynarodowieniu. Zwłaszcza tam, gdzie jakaś miejscowość powiatu bytowskiego należy do parafii znajdującej się już w obrębie Prus Zachodnich, miejscowa ludność katolicka, udając się na nabożeństwa do okolic jeszcze czysto kaszubskich, więcej ma sposobności do używania swego języka i przez to go nie zapomina. W powiecie lęborskim natomiast, na wschodnich jego krańcach, pozostała już tylko jedna miejscowość, której większość ludności zachowała język kaszubski. Jest to Wierzchucin, położony pomiędzy jeziorem Żarnowieckiem a brzegiem morza i zapewne temu sąsiedztwu większych mas wody zawdzięcza on zachowanie dawnego charakteru narodowego.

Fakt ten, iż miejscowości położone nad wielkimi zbiornikami wód wykazują wielką odporność na obce wpływy asymilacyjne, obserwować można wielokrotnie właśnie na Kaszubach. Osady najczyściej kaszubskie, gdzie liczba używających języka kaszubskiego, stanowi 90—100% mieszkańców, znajdujemy położone tuż nad brzegiem morza lub wśród jezior kaszubskiej Szwajcaryi, w kartuskim powiecie. Wsie otaczające wieńcem wspomniane tu już jezioro Żarnowieckie, które stanowi granicę powiatów puckiego, wejherowskiego i lęborskiego, posiadają silną przewagę kaszubską i tworzą kompleks miejscowości położonych w tych trzech powiatach, będący jakgdyby wyspą językową kaszubską. Na wschód bowiem od reszty powiatu puckiego oddziela pas niemczyzny ciągnący się od morza na południe kilkanaście kilometrów; na zachód zaś znajduje się zgermanizowana część powiatu wejherowskiego, a dalej niemiecki już zupełnie powiat lęborski.

Nad samem jednak jeziorem Żarnowieckiem i ponad przepływającą przez nie i nieco dalej na północ od niego wpadającą do morza rzeczką Piaśnicą, wzdłuż której aż do r. 1772 biegła granica Rzeczypospolitej, rozbrzmiewa jeszcze jak i przed wiekami mowa kaszubska. Również na przeciwległym, zachodnim krańcu powiatu Lęborskiego, którego środek oddawna już uległ wynarowieniu, język kaszubski trzymał się długo i dziś jeszcze nie zupełnie zamarł w ustach rybaków ponad jeziorem Łebskiem.

Zowią ich Kabatkami, Słowińcami zaś tych, których resztki istniały jeszcze do ostatnich czasów po drugiej stronie jeziora Łebskiego i rzeki Leby, tej odwiecznej granicy pomiędzy Pomorzem Dolnem i Górnem, a później między dzierżawami Zakonu i książąt szczecińskich, a wreszcie także i Polski, o ile powiat lęborski był w jej posiadaniu, na terytoryum dawnej ziemi słupskiej, obecnie powiatu tejże nazwy. Słowińcy i Kabatkowie, oddzieleni od zwartego terytoryum kaszubskiego całą szerokością już zupełnie zniemczałego powiatu lęborskiego, ulegli zupełnej germanizacyi. Na początku XIX. wieku zajmowali oni jeszcze w powiecie słupskim i lęborskim znaczny obszar. Mowa kaszubska rozbrzmiewała tam jeszcze w kilkunastu wsiach. Obszar ten jednak z roku na rok szybko się kurczył. Nabożeństwa kaszubskie, jakie się odbywały w niektórych zborach protestanckich jeszcze w XVIII. wieku, poczęto znosić jedno po drugiem. W ten więc sposób kościół i duchowieństwo protestanckie dokonało zniszczenia szczepu Słowińców i sąsiadujących z nimi Kabatków czyli Kaszubów w zachodniej części powiatu lęborskiego. O Słowińcach, ich języku i procesie germanizacyi, szybko wśród nich postępującym, istnieje cała literatura tak w języku polskim jak niemieckim i rosyjskim. Uczeni i badacze Polacy, Niemcy i Rosyanie wielokrotnie w ciągu XIX. i jeszcze na początku XX. wieku starali się z ust ludu tamtejszego zebrać ostatnie wyrazy gasnącego języka i zużytkować je dla celów naukowych. Z ich relacyi możemy zdać sobie sprawę, z jak szaloną szybkością postępowała zatrata języka u tej garstki najdalej na zachód rzuconych, od wszystkich zapomnianych Polaków. Dziś spotyka się tam już tylko nieliczne jednostki, i to wśród najstarszego pokolenia, władające jeszcze językiem kaszubsko-słowińskim i zachowujące wspomnienie z czasów, gdy język ten nie był w tamtych stronach rzadkością.

Prócz tego Kaszubi, rozsypani po całem terytoryum powiatów lęborskiego, bytowskiego i słupskiego, znajdują się na folwarkach w charakterze robotników rolnych. Wogóle ludność polska tych powiatów w ostatnich czasach szybko wzrasta, zdaje się dzięki imigracyi z Prus Zachodnich. Wzrost procentowy Polaków w okresie 1867—1900 wynosił rocznie stale 2% lub nawet nieco więcej. Wskutek tego odsetek 13·1%, jaki Polacy stanowili w roku 1890 w powiecie bytowskim, podniósł się do roku 1900 już na 14·5%, w lęborskim z 5·0% na 5·3%. Można więc przyjąć, że liczba Polaków i Kaszubów, która w obu tych powiatach w roku 1900 wynosiła 6220, urosła do r. 1914 z doliczeniem paruset Kaszubów, znajdujących się w powiecie słupskim, na przeszło 8 tysięcy głów.

Dodawszy liczbę tę do 161 tysięcy ludności polsko-kaszubskiej terytoryum kaszubskiego w Prusach Zachodnich, otrzymamy razem około 170 tysięcy Polaków obszaru językowego kaszubskiego po obu stronach dawnej zachodniej granicy Polski. Gdy z liczby tej odliczymy 8% na Polaków niekaszubskiego pochodzenia, pozostanie 156.000 rdzennych Kaszubów, mieszkających na własnem terytoryum, przeważnie skupionych, a więc mających warunki zachowania języka i odrębności szczepowych.

Stefan Ramułt w swej „Statystyce ludności kaszubskiej" ustala liczbę Kaszubów, odnośnie do r. 1892, w obrębie Prus Zachodnich na 162.947, w trzech zaś wyżej omawianych granicznych powiatach prowincyi pomorskiej na 13.884, razem więc na obszarze, do którego nasze obliczenia się odnoszą, 176.831.

Ramułt obliczeń swoich dokonywał na podstawie własnych badań, statystyki urzędowej używając tylko ubocznie i tam, gdzie sam obliczeń przeprowadzić nie mógł. Wszyscy sprawozdawcy jego pracy jednozgodnie zarzucają mu zbytni optymizm na korzyść ludności kaszubskiej.

Wszelkie wątpliwości natomiast, jakieby mieć można co do statystyki urzędowej, ustąpić muszą na plan drugi wobec faktu, iż jest ona o 18 lat późniejsza aniżeli obliczenia Ramułta i że nie mamy naprawdę sposobu dokładnego jej skontrolowania, a nie dla każdego jest możliwem podejmowanie tak pracowitych i wiele lat trwających obliczeń, jakich dokonał Ramułt.

Dążność do oddzielenia Kaszubów od Polaków ujawnia się przy spisach ludności, gdy Kaszubów zapisuje się do osobnej ru-

bryki, Polaków do osobnej. Rozumie się, że cyfry w ten sposób uzyskane nie mają żadnej faktycznie wartości, gdyż jak poprzednio zaznaczyliśmy, takie rozróżnienie narzeczowo-szczepowe może być dokonane tylko w drodze badań naukowych, niedostępnych, rzecz jasna, dla urzędników przeprowadzających spis ludności, a następnie jako reakcya ze strony polskiej występuje tendencya wśród ludności kaszubskiej, by zapisywać się tylko do rubryki języka polskiego. Zwłaszcza na południowej Kaszubszczyźnie agitacya ta cieszy się znacznem powodzeniem, jak również wśród ludności kaszubskiej, osiadłej w miastach, a więc więcej oświeconej.

Niebezpieczeństwo wynarodowienia było i jest na Kaszubach większe niż w jakiejkolwiek innej dzielnicy Polski. Kraj ten od wieków wystawiony na wpływy niemieckie, od początku XIV. w. kolonizowany przez Krzyżaków, którzy zdołali zgermanizować Gdańsk i inne miasta, odpadł od Polski już podczas pierwszego rozbioru i wskutek tego dłużej niż jakakolwiek inna prowincya polska podlega systematycznemu działaniu dążącemu do wynarodowienia ludności.

A i za czasów polskich wpływy niemczyzny nie były zupełnie unicestwione. Przedewszystkiem sam Gdańsk wywierał na okolicę w szerokim promieniu wpływ germanizacyjny. Skutki jego widzimy dziś doskonale. Powiat gdański górski zniemczony jest w $^{9}/_{10}$ częściach, mimo że większość ludności jest katolicka, a więc pochodzenia polskiego. Żuława zaś gdańska, położona między Motławą i Wisłą, posiadłość miasta samego, jest dziś krajem rdzennie niemieckim. Drugiem silnem ogniskiem niemczyzny był klasztor Cystersów w Oliwie, który niejednokrotnie sprowadzał do swoich posiadłości jako kolonistów Niemców — protestantów. Również nieraz kolonistów niemieckich sprowadzali i starostowie polscy. Ognisk kultury polskiej było tu mniej niż gdziekolwiekbądź indziej w Polsce, gdyż miasta były od dawna zniemczone, a szlachta wobec istnienia wielkich królewszczyzn i dóbr duchownych, oraz z powodu małej urodzajności ziemi mniej liczna. Mniej więcej tylko $^{1}/_{5}$ wszystkich wsi na Kaszubach znajdowała się za czasów polskich w rękach szlachty. Szlachta ta była pochodzenia bądź miejscowego, kaszubskiego i wyróżniała się charakterystycznymi, kaszubskimi przydomkami, bądź też przybyła na Kaszuby

z innych prowincyi Polski. Immigracya ta miała miejsce zwłaszcza w XVII. wieku. Do tej grupy szlachty należała między innemi rodzina Wybickich, z których pochodził urodzony na Kaszubach autor pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“, Józef Wybicki [1]). Wiele jednakowoż rodzin osiadłych na Kaszubach było pochodzenia niemieckiego. Znaczna część z pośród nich pozostała jeszcze z czasów krzyżackich, spolszczyła się, ci jednakowoż, którzy później przybyli tam przeważnie z Pomeranii, pozostali Niemcami aż do upadku Polski i w roku 1772 znajdujemy tę niemiecką szlachtę siedzącą zwartą masą w powiatach człuchowskim, bytowskim, a najwięcej w puckim i wejherowskim. Przyczyniła się ona niemało do późniejszej częściowej germanizacyi tych powiatów. Że niejeden starodawny ród pomorsko-kaszubski uległ wynarodowieniu, dowodem rodziny von Krockow (dawniej Krokowski) i Przebendowskich, obecnie zniemczałe [2]). Polska wielka własność szybko topniała w XIX. wieku i dziś zaledwie $^{1}/_{10}$ część jej pozostała w posiadaniu Polaków. W powiecie puckim ostatni większy majątek polski przeszedł w ręce niemieckie w r. 1911.

Samo położenie Kaszub nadzwyczaj jest niekorzystne i utrudnia obronę polskości tego kraju. Na wielkiej przestrzeni środkowa zwłaszcza ich część z dwóch stron, od zachodu i od wschodu, styka się z terytoryum etnograficznie niemieckiem. Tylko północną część Kaszub morze chroni od północy i wschodu, tu jednak z tem większą siłą niemczyzna wdziera się od zachodu i zachodnie krańce powiatów puckiego i wejherowskiego uległy częściowej germanizacyi.

Komisya kolonizacyjna słabą tylko na Kaszubach rozwijała działalność i to, ograniczając się prawie wyłącznie do powiatów południowo-kaszubskich, gdyż mało urodzajna ziemia nie może stać się przynętą dla większej liczby kolonistów.

Natomiast w latach ostatnich wielkie obszary ziemi przeszły z rąk kaszubskich do t. zw. fiskusu leśnego. Rząd pruski na wielką skalę prowadzi gospodarkę leśną i w tym celu nabywa pewne przestrzenie, by je następnie zalesić. Ale i tę działalność, pozornie czysto gospodarczą, połączono z akcyą antypolską. Fiskus leśny nabytki

---

[1]) Bendomin, miejsce urodzenia Wybickiego, położony w powiecie kościerzyńskim, posiada obecnie przewagę ludności niemieckiej.

[2]) „Gryf“ 1911, nr. 3, str. 39, „Ludność kaszubska w ubiegłem stuleciu“.

swoje czyni bowiem przeważnie w dzielnicach polskich. Na 300 tysięcy bez mała hektarów, które fiskus leśny nabył w okresie 1867 do 1905 r., przypada około 175.000 hektarów na W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie. Otóż, jak stwierdza „Gryf“ z r. 1910 w artykule „Zielony wywłaszczyciel“, z tej liczby zakupił fiskus leśny 31.755 hektarów w regencyi gdańskiej, a więc przeważnie w rdzennej Kaszubszczyźnie. Największe wyrwy porobił on zwłaszcza w powiatach kartuskim i kościerskim, gdzie zakupił i zalesił kilkanaście folwarków, usuwając w ten sposób ze znacznej przestrzeni ludność kaszubską, a sprowadził pewną ilość leśniczych i urzędników do administrowania lasem, rozumie się Niemców. Społeczeństwo polskie zdaje się nie spostrzegać niebezpieczeństwa, jakie z tej strony mu zagraża i żadnej jak dotąd akcyi nie zapoczątkowało, któraby przeciwdziałać mogła skutecznie kurczeniu terytoryum polskiego przez „Zielonego wywłaszczyciela“, jak trafnie przezwano fiskus leśny.

Kraków. *Tadeusz Dubiecki.*

Zmiany w stosunkach narodowościowych na ziemiach polskich od upadku Rzeczypospolitej.

II.

Ziemie Wielkopolskie.

(ciąg dalszy).

Główny napływ ludności protestanckiej do Wielkopolski spowodowany był walkami religijnemi i szedł od granicy śląskiej. Rozpoczął się już w XVI w. przybyciem Braci Czeskich z Moraw i Czech, przybrał jednak większe rozmiary dopiero z wybuchem wojny trzydziestoletniej i napływem uchodźców z pustoszonych Czech, a zwłaszcza ze Śląska, skąd ludność, nawracana gwałtem na katolicyzm, uchodziła tłumnie do Polski. Emigrowała ludność miejska, ale także i wiejska ludność poddańcza, która zbiegała z okolic w pobliżu Polski jeszcze w początkach XVIII wieku. Ówczesny stan narodościowy Czech, Moraw i Śląska, oraz historya reformacyi w tych krajach, każą wykluczać przypuszczenie, by pochodzący z nich napływ nowowierców do Polski składał się z ludności wyłącznie niemieckiej. Powierzchowne cechy niemczyzny rozlały się były szeroko po ziemiach czesko-morawskich i śląskich, ale istotne znamiona narodowościowe trwały u znacznej większości ich mieszkańców, zwłaszcza wśród ludu wiejskiego. W XVII wieku Śląsk Górny był niewątpliwie polskim, skoro wiadomo, iż jeszcze w drugiej połowie XVIII wieku niemal wszyscy księża mówili tam

tylko po polsku[1]). To samo miało miejsce i w znacznej części Śląska Dolnego; w okręgach: namysłowskim, kluczborskim, niemodlińskim, brzegskim, sycowskim, oławskim, oleśnickim, wrocławskim, było wielu duchownych, nie mówiących po niemiecku. Także ludność ewangelicka, która pozostała w północno-wschodnich okręgach Śląska, w XVIII w. była polską; w r. 1742 w Sycowie i Namysłowie wystawiono kościoły ewangelickie, w których kazania miały się odbywać po polsku[2]). Nie tylko księża, ale i nauczyciele nie władali niemieckim językiem. W odpowiedzi na rozporządzenie rządu pruskiego z r. 1751, dziekan ze Strzelc Wielkich donosił, że niema wcale nauczycieli, mówiących po polsku, którzyby znali także język niemiecki. W r. 1764 widział się rząd zmuszonym wydać zarządzenie dla departamentu wrocławskiego, według którego wszyscy nauczyciele, którzy nie umieli po niemiecku, mieli być usunięci[3]). We Wrocławiu, w szkole realnej, założonej w 1765 r., uczono fakultatywnie języka polskiego, toż samo w gimnazyum przy kościele św, Magdaleny i św. Elżbiety[4]). W tym samym czasie uczyli już nauczyciele po niemiecku w okręgach Zielona Góra i Mielice *(Militsch)*, ale wsie były tam jeszcze polskie. W okręgu głogowskim w niektórych miejscach używano jeszcze polskiego języka.

Rozporządzenie, wprowadzające nową metodę nauczania, kazał rząd przetłomaczyć na język polski i rozesłać po jednym egzemplarzu właścicielowi wsi, proboszczowi i nauczycielom; spotrzebowano 3800 egzemplarzy polskich.

Zdaje się więc nie ulegać żadnej wątpliwości, iż ludność, która w XVII i początkach XVIII wieku uchodziła ze Śląska do Polski,

---

[1]) Stwierdza to w swem piśmie z 17/V 1763 r, minister pruski Schlabrendorf *(Zeitschrift für Geschichte und Altertum Schlesiens XVII Reiman Ed. „Über die Verbesserung des niederen Schulwesens in Schlesien in den J. 1763—69")* W r. 1764 w okręgach bytomskim i pszczyńskim znalazł minister tylko dwóch duchownych, którzy rozumieli język niemiecki *(Zeit. f Gesch. u. Alt. Schl. XXIV Weigelt C. „Die Volksschule in Schlesien nach der preussischen Besitzergreifung")*.

[2]) *Zeitschrift für Geschichte und Altertum Schlesiens XXII, Markraf „Zur Geschichte des Breslauer Kaufhauses"*.

[3]) *Weigelt „Die Volksschule in Schlesien nach der preuss. Besitzergreifung "*

[4]) *Zeitschrift für Geschichte und Altertum Schlesiens XXI. Reiman „Über das höhere Schulwesen Breslaus in den Jahren 1763—86"*.

zwłaszcza ludność wiejska i z okolic nadgranicznych, była w znacznej części narodowości polskiej[1]).

Skutkiem powyżej omówionego napływu ludności było w Wielkopolsce powstawanie wsi protestanckich. Już w XVI w. Bracia Czescy, razem z niemcami protestantami, zapewne zbiegami z Nowej Marchii, utworzyli kilka osad w dobrach wieleńskich, na północ od Noteci, i rozproszyli się po innych wsiach; osiedlali ich panowie kalwińscy: Górkowie, Leszczyńscy, Ostrorogowie, Opalińscy, etc. Przy powstawaniu pierwszych wsi, zwanych Holendry, na nizinach nadwislańskich i nadnoteckich, ludność czesko-morawska miała także udział[2]). Osiedli Bracia Czescy w miastach: Poznaniu, Kurniku, Szamotułach, Koźminie, Lesznie; to ostatnie założone było przez nich już w pierwszej połowie XVI wieku. W XVII i XVIII wieku powstają wsie w bliskości Śląska, w okolicach Rawicza[3]), Bojanowa i dalej na zachód, do Kargowy, Międzyrzecza i Międzychodu. W końcu XVII i w początkach XVIII w. osady „Holendrów"[4]) są dość liczne w obszarze lesisto-bagnistym

---

[1]) Władysław IV, ujmując się w piśmie do cesarza z 1635 r. za protestantami śląskimi, powołuje się na bliskie pokrewieństwo ludności śląskiej i polskiej (z archiwum wrocławskiego. *Er. Schmidt „Geschichte des Deutschtums im Lande Posen"*) Kasztelan gnieźnieński, Grzymułtowski, zakładając miasto przy wsi Rakoniewicach, zapraszał osadników „tak polskiego, jako i niemieckiego narodu". (z archiwum państwowego w Poznaniu. *Ad. Warschauer „Reklameblätter zur Heranziehung deutscher Kolonisten"*). Podobnie St. Kołaczkowski w 1642 r. ofiarowywał przytułek koło Jutroszyna „ślązakom" (polakom) i niemcom, augsburskiego wyznania. W r. 1669 r. Krzysztof Sieniuta wzywa do Sieniutowa, Kobylina, Zdun, Jutroszyna, zarówno niemców, jako i polaków (ze Śląska), zapewniając im wolność wyznania augsburskiego.

[2]) *Er. Schmidt: „Geschichte des Deutschtums im Lande Posen".*

[3]) O licznych ewangelikach wiejskich w okolicach Rawicza wspomina Holsche, opisując departament poznański (*„Geographie und Statistik von West-,Süd- und Neuost-Preussen" 1804 T. II).*

[4]) Nazwa „Holendry" (Olendry), nadawana osadom czynszowym wolnym, obdarzonym specyalnym ustrojem samorządnym, a powstającym zawsze na nieuprawnych dotąd gruntach, pochodzi od przewagi holenderskiego żywiołu w najwcześniejszych podobnych wsiach i od przyniesionych przez wychodźców z Niderlandów właściwości gospodarczych i prawnych. „Holendry" powstawały początkowo głównie na gruntach bagnistych i nadrzecznych, które trzeba było osuszać i bronić przeciw zalewom, a gospodarka opierała się przeważnie na wychowie bydła. Ten sposób gospodarowania uważa Holsche za przyczynę nazwy (*„Der Netzdistrict").* W XVIII w. „holendrzy" przeważnie karczowali lasy i nazwę ich zaczęto wywodzić od *„Hauländer"*; tego tłómaczenia trzymają się pisarze z po-

na wschód od Obry, w dzisiejszych powiatach Babimost i Nowy Tomyśl, spotykają się także na przestrzeni obecnych powiatów: Grodzisk, Międzychód, Skwierzyna i we wchodniej części międzyrzeckiego. Zakładane są wsie protestanckie, aczkolwiek mniej licznie, i w głębi kraju, w obornickiem, w szamotulskiem. O osadnictwie bardziej na północ, nad Notecią i nad Wisłą, wspominaliśmy już powyżej. W późniejszych dziesięcioleciach XVIII wieku nowe wsie (Holendry) powstają już tylko bardzo nielicznie, przeważnie na południo-wschód od Poznania, w dzisiejszych powiatach: Środa, Śrem, Jarocin, Pleszew, (także parę wsi w północnej części kraju i innych okolicach).

Do dzisiejszych powiatów: odolanowskiego, ostrzeszowskiego, kępińskiego, ostrowskiego, skierowany był głównie napływ polskiej protestanckiej ludności poddańczej, uchodzącej z sąsiednich czysto polskich części Śląska (w tych powiatach Księstwa Poznańskiego i w sąsiednich śląskich przechowała się dotychczas znaczniejsza liczba polskiej ludności ewangelickiej). W XVIII w. kazania w gminach ewangelickich w Odolanowie, Ostrowie, Kępnie, wygłaszane były po polsku. To samo miało miejsce także w Kargowie, daleko na zachód wysuniętej i bliskiej już granicy brandenburskiej. Należała Kargowa *(Unruhstadt)* do możnej rodziny Unrugów, posiadaczy licznych włości, którzy, (według Meyera), chętnie przyjmowali osadników słowiańskich.

W Lesznie istniała obok gminy czeskiej i niemieckiej osobna gmina polska; w czasie gdy dla braku funduszów (po wojnie szwedzkiej i spaleniu miasta) nie było osobnego ministra polskiego, kazania polskie wygłaszał senior i rektor gimnazyum kalwińskiego.

Przyjmowali wychodźców protestanckich i zapewniali im swobodę wyznaniową głównie tylko panowie dysydenccy (Unrugowie, Czarnkowscy, Bojanowscy, Szlichtyngowie i inni). Ogromne posiadłości duchowieństwa świeckiego i klasztornego zamknięte były

czątku XVIII w. (n. p. Ign. Stawiarski), a także nowsi, polscy i niemieccy. Niektórzy dają inne jeszcze tłómaczenia. U Schmidta *(„Geschichte des Deutschtums im Lande Posen")* znajdujemy przytoczone nazwiska i imiona założycieli wsi Łęgnowo *(Langenau)*, oraz szczegóły, wyjęte z pierwszych przywilejów lokacyjnych, świadczące wyraźnie o narodowości holenderskiej osadników. Zdaje się to tłomaczyć dostatecznie pochodzenie nazwy „Holendrów". W XVIII w. specyalne właściwości wsi „holenderskich" zacierają się, nazwa ta stosowaną jest wogóle do wsi, osadzonych na prawie niemieckiem, nawet z ludnością czysto polską *(M. Beheim Schwarzbach „Der Netzedistrikt . . .")*.

dla nowowierców[1]), także przeważnie i wsie, należące do szlachty katolickiej). W czasie największego wychodźtwa z Czech i Śląska t. j. w epoce wojny trzydziestoletniej i najsilniejszych prześladowań religijnych, Wielkopolska nie była jeszcze wyludniona ani przez wojny, ani przez zarazy (trafiały się tylko „pustki", spowodowane uchodzeniem ludu wiejskiego na Ruś), i zbyt wiele miejsca wolnego i urodzajnej gleby dla osadników nie miała. To też osadnictwo z epoki poreformacyjnej tego rozmiaru, jaki osiągnęła średniowieczna kolonizacya, przybrać nie było w stanie i szczególniej na wsi stosunkowo skromne dało wyniki.

Ludność napływowa ewangelicka nietylko tworzyła całe wsie na gruntach dotąd nie uprawnych (Holendry), lub czasem zaludniała dawne, mniej lub więcej opustoszone, z których resztki ludności miejscowej bywały przesiedlane[2]), ale rozpraszała się także wśród istniejących wsi, osiadała w nich jako wyrobnicy, trudniący się przeważnie tkactwem, młynarze, owczarze, rzemieślnicy wiejscy, a więc stelmachy, rymarze i t. p. Rozprószona ludność, o ile była niemiecką, zatracała prędko swoją odrębność narodowościową, przechodząc też często na katolicyzm, czemu sprzyjał brak zborów i pastorów. Tem bardziej ludność śląsko-polska, czy czesko-morawska, wyzbywała się powierzchownych cech niemieckich na korzyść polskości. Bracia Czescy zostali po wojnach szwedzkich w znacznej części wypędzeni z Wielkopolski, pozostali rychło spolszczyli się,[3]) (w Lesznie gdzie przewaga niemiecka była znaczna, ulegli germanizacyi)[4]).

Proces asymilacyjny trudniejszy był we wsiach, założonych przez Niemców ewangelików, na co składał się także ustrój samorządny osad holenderskich i zwyczaj utrzymywania w nich przez ludność nauczyciela (wyposażanego też często przez

---

[1]) Znanem jest tylko osadzenie holendrów przez kapitułę gnieźnieńską w kluczu Uniejowskim (Królestwo Polskie), z różnemi wszakże ograniczeniami swobody wyznaniowej

[2]) Zdarzało się tak, jak twierdzi Holsche, w końcu XVII i początkach XVIII wieku w kraju nadnoteckim.

[3]) „*Von Huus aus slavisch, sich leicht polonisierten*" *Chr. Meyer* „*Geschichte des Landes Posen*" str. 211. Spolszczeniu Braci Czeskich sprzyjało zlanie się ich z kalwinami.

[4]) Ostatnie kazanie czeskie w Lesznie wygłoszone zostało w 1700 r. (St Karwowski „Kronika miasta Leszna").

pana)[1]). Jednak wpływy polskie docierały z biegiem czasu i do takich wsi niemieckich; wojny i zarazy morowe, które tak niszczyły Wielkopolskę od połowy XVII wieku, przetrzebiały także ludność niemiecką, osadnicy wymierali i uciekali z kraju, co spoistość i odporność narodowościową pozostałych znacznie osłabiało. Małe i ubogie osady holenderskie, które powstawały w XVIII wieku na gruntach piaszczystych po wykarczowanych lasach sosnowych, łatwo podlegały wpływowi polskiego otoczenia, zwłaszcza w środkowej i południowo-wschodniej części kraju (dzisiejszego Księstwa Poznańskiego). Ulegały temu wpływowi i duże kwitnące osady nad Wisłą, Brdą i Notecią, tembardziej że już przy powstawaniu „Holendrów" brała udział obok wychodźców z Niderlandów, Nowej Marchii, Moraw, także ludność wielkopolska[2]).

Charakterystyczne jest, iż Holsche, opisując „powiat nad Notecią" i starając się usilnie usprawiedliwić zabór tego kraju, u części wiejskiej jego ludności (holendrów, emfitentów) widzi i podkreśla niemieckie pochodzenie; przy opisie powiatu maryampolskiego w „Prusiech Nowowschodnich" wspomina o spotykanych tu i tam *(„hin und wieder")* Niemcach czynszownikach[3]); ale w departamencie poznańskim widzi Niemców tylko w miastach: Poznaniu i kilku *(„einige")* miastach na granicy Śląska i Nowej Marchii[4]).

Bo też do miast skierowany był główny prąd imigracyjny w omawianej przez nas dobie. Powstaje kilka nowych miast, a więc Rawicz, Bojanów w 1638 r., Zaborowo i Szlichtyngowa w 1644 r., Kargowa w 1661, Rakoniewice w 1662 r. Wschowa i Leszno zaludniają się znacznie; w miastach: Kobylin, Skoki, Osieczna,

---

[1]) Patrz przywileje lokacyjne u Schmidta *(Geschichte des Deutschtums im Lande Posen)* i Beheim Schwarzbacha *(„Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Teilung Polens")*.

[2]) Er. Schmidt *„Geschichte des Deutschtums im Lande Posen"*. Franz Guradze *„Der Bauer in Posen"*.

Fryd. Schultz (*„Reise eines Liefländers.* Berlin 1795 I. str. 29), opisując swoją podróż z r. 1793 przez Polskę z Rygi do Tyrolu, czyni wzmiankę o wsi holenderskiej „Gog", w okolicy Kowna, której ludność pochodzenia niemieckiego oddawna zapomniała swego języka.

[3]) *„Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neuost-Preussen"* Berlin 1800 T. I.

[4]) *„Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neuost-Preussen"* Berlin 1804 T. II.

Zduny, Obrzycko, Kamionna, Jutroszyn, Swarzędz, Czarnków, napływający protestanci otrzymują przywileje między 1630 a 1645 r., w 1652 ściągają do Babimostu (na zaproszenie starosty Żegockiego, wsławionego później w walkach ze Szwedami); w 1660 r. powstaje w Kępnie nowe miasto. Także Krotoszyn, Zbąszyn, Kopanica, Międzyrzec, Międzychód, rozrastają się w tym czasie. Z wymienionych powyżej miast znaczna większość leży w bliskości Śląska). Nęciło osadników do zakładania miast i nowych dzielnic w miastach istniejących, nadawanie im prawa niemieckiego, przywilejów, zwolnienie od podatków na czas pewien[1]).

Od wojny szwedzkiej (1655—60) napływ ludności do miast wielkopolskich osłabł bardzo znacznie. W początku XVIII w. powstaje nowa część miasta w Trzcielu, podobnie w Rogoźnie i Koźminie; w Chodzieży i Gołańczu osiadają sukiennicy, w Witkowie około 1740 r. Szwabi, do Leszna sprowadza rękodzielników niemieckich Aleksander Sułkowski, napływa także ludność do Ostrowa. Kilka prób w ciągu XVIII w. podniesienia wsi do rzędu miast nie udało się, rozwinęła się tylko Trzcianka. Nietylko niemcy ewangelicy, ale i katolicy (z południowych Niemiec) przybywają w XVIII w., cały jednak napływ o wiele nie dosięga poprzedniego, z pierwszej połowy XVII wieku. W Poznaniu w drugiej połowie XVIII w., po zniesieniu ograniczeń względem protestantów, liczba ich wzrosła dość silnie.

Wspomniany już rozłam między społeczeństwem katolickiem a ewangelickiem, szlachtą a mieszczanami, sponiewieranie stanu miejskiego, rozdział prawny między przybyszami a dawną polską ludnością miast (wychodzący na niekorzyść tej ostatniej), sprzyjały wyodrębnieniu się mieszczaństwa, pochodzącego z poreformacyjnego napływu, i zachowaniu przez dość znaczną jego część, zwłaszcza

---

[1]) Pisarze niemieccy (Er. Schmidt, Ad. Warschauer) twierdzą, iż panowie polscy nietylko przyjmowali niemców protestantów, ale ich przywabiali pismami reklamowemi (*Reklameblätter*) i że to było rozpowszechnionym zwyczajem. Jednak Warschauer zdołał wynaleźć tylko 3 podobne pisma z przeciągu dwóch wieków (XVII i XVIII), mianowicie Grudzińskiego, wojewody kaliskiego, z 1641 r. dla Swarzędzia (Grzymałowem miało być nazwane nowe miasto), starosty Krzysztofa Żegockiego dla Babimostu (1652) i kasztelana Leona Raczyńskiego dla Szamocina (około 1755 r.), które zresztą, jako opatrywane własnoręcznym podpisem i pieczęcią, w niewielu tylko wydane były egzemplarzach i rezultatu prawie żadnego nie osiągnęły, przynajmniej co do Swarzędzia (Grzymałowa) i Szamocina (Ad. Warschauer *„Reklameblätter zur Heranziehung Deutscher Kolonisten“)*. Er. Schmidt przytacza jedno jeszcze pismo, mianowicie Krzysztofa Sieniuty.

w większych miastach[1]), charakteru niemieckiego aż do chwili rozbiorów. Piętno niemieckie, nadawane było miastom przez wyższe, zamożniejsze mieszczaństwo, ludność uboższa, ludność robotnicza i służebna, bywała polską. W mniejszych miastach żywioł niemiecki prędzej ulegał polskim wpływowom, a ludność polska, przybyła ze Śląska, nie była w nich narażoną na dalsze wynaradawianie. W miastach na wschód od Leszna i Rawicza, a więc od strony czysto polskich części Śląska, udział żywiołu niemieckiego był na ogół słaby.

Co do oblicza narodowościowego Wielkopolski po najsilniejszym napływie ludności protestanckiej, posiadamy świadectwo Ulryka Werdum, który w połowie XVII wieku przejeżdżał Wielkopolskę, raz koło Bydgoszczy, drugi raz koło Leszna, a więc w okolicach, gdzie głównie osiadali uchodźcy. Pisze Werdum w swoim pamiętniku, iż po wjeździe z Prus do Wielkopolski, od Chełmna przez Niewieszyn w stronę Bydgoszczy, język niemiecki spotyka się jeszcze na granicy, ale następnie zanika zupełnie; we wsiach są nędzne domy, a w napotkanej za Bydgoszczą wsi z kościołem „luterskim“, Łęgnowo nad Brdą (Langenau, jedna z pierwszych osad holenderskich), Holendrzy, którzy za prześladowania ks. Alby zbiegli z Niderlandów, trzymają się wprawdzie dawnego obyczaju, ale ze znaczną przymieszką niemieckiego i polskiego; z opisu widać, iż wieś tę zamieszkiwali także Polacy. Na południu Wielkopolski, na granicy śląskiej, zauważył Verdum „kilka tylko miejscowości, w których mówią po niemiecku“, Leszno i inne; „daleko na Śląsku w tem miejscu nie mówią jeszcze innym, jak polskim językiem“[2]).

Bliższe rozpatrzenie się w istocie i losach napływu ewangelickiego do Wielkopolski skłaniać więc musi, zdaniem naszem, do wniosku, iż nie może on być wzięty jako równoznacznik zniemczenia kraju i że wśród ludności protestanckiej w chwili rozbiorów, część znaczną — mniejszą lub większą, zależnie od okolicy — stanowiła polska ludność: krajowa, śląsko-polska, potrochu i pomorsko-polska, oraz zasymilowana ludność czesko-morawska i niemiecka.

---

[1]) Przyjrzymy się im bliżej, gdy rozpatrywać będziemy dane spisów pruskich dla departamentu poznańskiego.

[2]) Ksaw. Liske „Ulryk Werdum. Dyaryusz podróży po Polsce“ Przewodnik naukowo-literacki r. 1876.

Wniosek ten znajduje pośrednie uzasadnienie w cyfrach dla ewangelików polaków w W. Ks. Poznańskiem z ostatnich czasów. Okazuje się szybkie topnienie liczby ewangelickiej polskiej ludności: w 1890 r. wynosiła ona 15919 osób, w 1900 r. 13312, w 1905 r. 11452[1]), a proces ten z pewnością nie ograniczał się tylko do ostatnich lat, ale trwał od rozbiorów i zwłaszcza początkowo bardzo znaczne przybrać musiał rozmiary. Łatwo zrozumieć, iż akcya wynaradawiająca, rozwinięta zaraz w krajach zabranych (w kraju nadnoteckim od 1772 r. a więc przed ujawnieniem się tych wpływów, jakie wynikły z korzystnego zwrotu w sprawie miejskiej i dysydenckiej), podziałać musiała przedewszystkiem na ludność ewangelicką. Otoczona ona została specyalną opieką rządu, zwłaszcza w miastach królewskich (które utraciły prawo obieralności urzędników i podlegały zwierzchnictwu „kamer"; burmistrze w miastach prywatnych byli także mianowani przez kamerę). Żywioł niemiecki i oddziaływanie jego na resztę ludności usilnie był popierany. Ewangelicy mieli dostęp do urzędów, podczas gdy katolicy Polacy od spraw publicznych, zagarniętych przez rząd, w zupełności byli odsunięci. Główny jednak wpływ wywierał kościół i szkoły ewangelickie, powiększenie liczby zborów, sprowadzanie pastorów i nauczycieli z rdzennie niemieckich krajów, łączenie szkół miejskich z garnizonowemi. Niemałe także i ujemne znaczenie miały małżeństwa mieszane między ewangelicką ludnością polską a niemiecką. Z drugiej strony, rodziny polskie ewangelickie przechodziły licznie na katolicyzm. Dzieci ze związków między Polakami katolikami a ewangelikami, wobec stanowiska kościoła katolickiego co do wyznania potomstwa małżeństw mięszanych, wychowywane były z reguły w wierze katolickiej.

Jednocześnie zwiększała się w Księstwie Poznańskiem liczba niemców katolików; w 1905 r. było ich już 138.569 na 765068 ogółu Niemców, t. j. więcej niż $^1/_6$. Współdziałały tu: napływ ludności niemieckiej katolickiej z poza granic Księstwa, oraz wynaradawianie polskiej katolickiej ludności, w tych zwłaszcza częściach Wielkopolski, gdzie stykała się ona z obszarem niemieckim krajów sąsiednich, (nieoddzielonych już granicą państwową) i gdzie

---

[1]) J. Buzek „Historya polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec polaków" str. 547.

żywioł niemiecki napływowy najszybciej wzrósł był w znaczniejszą siłę. Proces asymilacyjny obracał się więc na naszą niekorzyść.

W 1910 roku mamy szereg powiatów wielkopolskich, w których liczba Polaków o wiele nie dosięga liczby katolików i to nietylko od strony niemiecko-katolickiego obszaru Śląska — a więc Wschowa (katolików 63%, polaków tylko 31%), Leszno (katolików 61%, polaków 38%), Babimost (katolików 63%, polaków 50.5%), ale także na północy i zachodzie Wielkopolski, na granicy lub w bliskości krajów protestanckich. Tu nawet stosunki są znacznie gorsze, w powiecie skwierzyńskim jest tylko 8% Polaków a katolików 59%, w międzyrzeckim Polaków 23%, katolików 50%, w wałeckim[1]) polaków prawie już niema (1.5%), katolików, zaś 42.3%, w złotowskim polaków 25.5%, katolików 42.4%, w chodzieskim polaków 18.5%, katolików 41%, w czarnkowskim polaków 29%, katolików 47%, w Bydgoszczy (mieście) polaków 17.5%, katolików 32%[2]). We wszystkich innych powiatach Księstwa liczba ludności katolickiej tylko niewiele — o kilka procent — lub prawie wcale nie przewyższa liczby ludności polskiej, w kępińskim, ostrzeszowskim i odolanowskim nawet jej nie dosięga, w pierwszym nieznacznie (polaków 83.17%, katolików 82.63%), w dwóch dalszych silniej (w ostrzeszowskim polaków 84.4%, katolików 77.9%, w odolanowskim polaków 87%, katolików 77.5%). Trudno przypuścić, by specyalnie do zachodnich i północnych okolic Wielkopolski miała miejsce szczególniej silna imigracya katolicka niemiecka[3]), raczej należy przyjąć, iż uwidocznił się tu, między innemi, wpływ asymilacyjny licznej niemieckiej ludności ewangelickiej (pochodzącej częściowo już z napływu za czasów Rzeczypospolitej), oraz sąsiedniego obszaru niemieckiego[4]).

Zakończywszy powyższe ogólne rozważania, przechodzimy do rozpatrzenia szczegółowych danych, jakie dla lat porozbiorowych znajdują się w źródłach i statystyce pruskiej. Pozwolą nam

---

[1]) Powiaty wałecki i złotowski w rejencyi kwidzyńskiej.

[2]) Krzyżanowski i Kumaniecki „Statystyka Polski“ 1915.

[3]) Rząd pruski począwszy od 1772 r., sprowadzał do ziem wielkopolskich prawie wyłącznie niemców ewangelików.

[4]) Słowaczyński w 1833 r. pisał: „Lud rolniczy niemiecki, osiadły wzdłuż Noteci, przybrał naturę polską, włościanin polski w zachodnich powiatach traci wydatne rysy swojej narodowości“ („Polska w kształcie dykcyonarza“ str. 354).

one zestawić dokładniejszy obraz stosunków narodowościowych w „powiecie nad Notecią“ i „departamencie poznańskim“, w chwili włączania tych ziem do państwa pruskiego.

Z. Kirkor.

(ciąg dalszy nastąpi).

W poprzednim numerze wkradły się do niniejszej rozprawy omyłki druku z których następujące prostujemy:

Str.	wiersz	zamiast	ma być
64	8 od dołu	Fryderyk Wilhelm II	Fryderyk Wilhelm III
65	4 „ „	1794	1796
65 w przyp.	7 „ „	222 mil □	222, nawet 232 mil □
66 „	2 „ „	Walsche	Holsche
69 „	7 „ „	włościan	mieszczan
70	3 od góry	Majaczewskich	Mojaczewskich
72	2 „ „	Wedelstedt	—
„	3 „ „	Talkmit	Tolkmit
„	4 „ „	Zokke, Hahnau	Zukke, Halman
73 w przyp.	2 od dołu	Vegner	Wegner
76	5 „ „	wsie ewangelickie, niemieckie	wsie ewangelickie
77	15 „ „	W końcu XVI w.	W końcu XVII w.
78	2 od góry	napewne	zapewne
„ w przyp.	7 od dołu	27587 osadników	27587 osób

Notatki.

Im bardziej wojna się przedłuża, tem większym ciężarem spada na nasz naród. Co prawda wszystkie państwa ponoszą olbrzymie wysiłki, ale u większości z nich wojna nie niszczy ich ziemi, nie wprowadza tak wielkiego zastoju w życie społeczne i gospodarcze, jak się to u nas dzieje. Państwa współczesne mogą swój organizm przystosować do zadań wojennych, mogą już teraz czynić przygotowania do tego, by zapobiedz złym skutkom wojny i odrazu, z nadejściem pokoju, rzucić się do walki ekonomicznej, opanować szłabsze od nich kraje. Tego wszystkiego my nie jesteśmy w stanie się podjąć. Czyż więc grozi nam zagłada? Czyż musimy po wojnie nałożyć na nasze barki jeszcze jarzmo gospodarczego ucisku, niezdolni do współzawodnictwa, do samodzielnej walki o byt?

Przyszłość nie zapowiada się tak czarno. Tracimy na wojnie więcej niż inne narody, ale pod jednym względem straty nasze są stosunkowo mniejsze. Prawda, że kraj nasz i przedtem ubogi w kapitał, będzie jeszcze uboższym w niego po wojnie; natomiast los dotąd oszczędził znacznej bardzo części naszej żywej siły produkcyjnej. Królestwo Polskie, opuszczone przez Rosyan, ocaliło sporą liczbę ludzi, którzy wszędzie gdzieindziej giną i wyczerpują się w tej strasznej walce. Coprawda co do liczby niewziętych do wojska i niewywiezionych przez Rosyan krążą czasami przesadne cyfry, jak i wiele innych, naprędce robionych wojennych statystyk. Dalej w porównaniu z liczbą ludności państw, biorących udział w wojnie, na tle faktu, że cała ludność świata, zaplątana w wojnę, zbliżyć się może bez mała do miliarda, ów uratowany ludzki „materyał" Królestwa Polskiego przedstawia się dość znikomo. W ka-

żdym razie ten materyał dla nas jest bezcennym, stanowi jedyne wyjście z wprost groźnej sytuacyi. Bez niego nie byłoby nadziei na odbudowę kraju, bo brakłoby rąk do tak olbrzymiej pracy, która nas czeka. Ona tylko jest w stanie przyciągnąć do spustoszonej ziemi przedsiębiorczość i kapitał, niezbędny dla jego odrodzenia.

Olbrzymie problemy polityczne, które wysuwa wojna, każą zapominać i nie przypominać wielu gospodarczych i finansowych zagadnień. Coraz to nowe zdarzenia odwodzą uwagę od tego, co się stanie w bardziej odległej, ale nie tak znów dalekiej przyszłości. Niemniej te zagadnienia w jaskrawych kształtach wystąpią zaraz po ukończeniu wojny. Trzeba umieć nie dać się porwać zawrotnemu prądowi zdarzeń, sięgnąć myślą poza pewne stadyum wojny, spytać się, z czem my przyjdziemy, gdy nowe wyrosną zadania. Trzeba myśleć nietylko o formie bytu narodowego, ale i o jego treści. Przyszłość nasza kryje wiele trudności, ale nie przedstawia się rozpaczliwie. Trudności przezwyciężymy, jeżeli będziemy dość przewidujący, jeżeli będziemy się starali wynieść, co się tylko da z dziejowej zawieruchy, a nie będziemy lekkomyślnie lekceważyć sobie resztek naszego mienia narodowego.

Z.

* * *

Ostatnich kilka miesięcy przeżyła część naszej opinii publicznej w gorączkowem podnieceniu. Według zapowiedzi niektórych czynników, miało nastąpić definitywne rozstrzygnięcie kwestyi polskiej. Oczekiwano z naprężeniem deklaracyi, o której treści krążyły fantastyczne wieści. Tymczasem artykuły miarodajnych pism niemieckich (*„Berliner Tagblatt“*, *„Münchener Neueste Nachrichten“*, *„Münchener Zeitung“* i t. d.) polały zimną wodą rozognione głowy, w końcu dnia 24. sierpnia przemówił generał-gubernator warszawski, v. Beseler. Przemówienie jego, wygłoszone przed wojskowymi i urzędnikami niemieckimi, zawierało parę ustępów, których treść bardzo jest ważną dla społeczeństwa polskiego w Królestwie Polskiem.

Ustępy te są następujące: „Nie jest mojem zadaniem mówić o tem, co się ma stać z czasem z tego kraju. Przecież nie wiemy jeszcze, jak się skończy wojna“. A dalej: „P ó ź n i e j, k i e d y ś, wynik wojny da nam prawo i obowiązek stanowienia o tym kraju“.

W tych lapidarnych zdaniach należy odróżnić pierwiastek polityczny od pierwiastka prawnego. Ze stanowiska politycznego v. Beseler, jakkolwiek z całą ufnością patrzy w przyszłość, nie chce, właśnie ze względu na toczącą się wojnę, wdawać się w przepowiednie o przyszłości kraju. „Nie wiemy jeszcze, jak się skończy wojna" — oto argument, na którym opiera swoją ostrożność. Ze stanowiska prawnego przyznaje, że decydowanie o przyszłości kraju można uzyskać dopiero na zasadzie wygranej wojny — jak długo ta wojna trwa, nie ma tego prawa władza okupująca. Zarządzenia jej mają charakter prowizoryczny, kierowane są wyłącznie względami na cele militarne.

Są to rzeczy całkiem oczywiste, wydawałoby się, że nie trzeba na nie wogóle zwracać uwagi. Niemniej jednak może przemówią one do tych żywiołów, w których umysłach doktrynerskie zamiłowanie do operowania fikcyami, ciasnota horyzontu politycznego i namiętne przywiązanie do własnej nadziei wywołało chaos i zamęt najprostszych pojęć.

Prawem międzynarodowem przed wojną zajmowali się u nas tylko nieliczni specyaliści. Obecnie nabrały rozgłosu niektóre jego zagadnienia, ale do nich nie należy jasna zresztą rola władzy okupującej w kraju okupowanym. Przy tej nieznajomości buduje się karkołomne wnioski, sprzeczne z tem prawem. Nawet ludzie, mający z polityką wiele do czynienia, nie zawsze chcą pomyśleć, że kraj okupowany aż do zawarcia pokoju pozostaje krajem okupowanym. Wszelka jego nowa organizacya, choćby ubrana w definitywne formy, ma tylko polityczną wartość, ujemną lub dodatnią, ale nie jest niczem stanowczem dla prawa międzynarodowego, nie stwarza niczego dla niego. Ponadto ustawy państwa okupującego przewidują obowiązujące prawnie dla niego akty tylko w zastosowaniu do własnego terytoryum: na terenie okupacyi rządzi prawo wojenne, władza okupująca ma tylko ściśle określone, prowizoryczne uprawnienia, stanowcze zas uregulowanie przynieść może tylko traktat pokojowy. Tylko ten może nowe twory dopuścić do społeczności prawa międzynarodowego.

Zdrową niewątpliwie jest rzeczą, gdy ogół narodu ożywia silna wiara w pomyślny wynik wojny. Wiara ta musi istnieć we wszystkich, bo tylko z nią możemy wytrwać w tak ciężkich czasach, ale wiara w dobrą przyszłość nie oznacza jeszcze obowiązku i uzdolnienia do przewidywania, jak się konkretnie ta przyszłość

ukształtuje. Pamiętać zawsze trzeba o słowach v. Beselera: „Przecież nie wiemy jeszcze, jak się skończy wojna". Obecna doba mało sprzyja całkiem niewinnym nawet proroctwom. A jeszcze mniej sprzyja politykom, którzy w swoich umysłach krystalizują niejako pewien chwilowy układ sił i budują na jego podstawie swoje zamki na lodzie. To budowanie byłoby rzeczą mało szkodliwą, gdyby nie szły z niem w parze akty polityczne, których korzyść polityczną i narodową potrzebę zrozumieć trudno, a których szkodliwość w pewnych warunkach jest oczywistą. W polityce, jak i w medycynie, trzeba się rządzić zasadą: *„primum non nocere"*. Trzeba pamiętać o wszystkich ewentualnościach, a nie z postawą augurów wróżyć niezachwianie przyszły obrót wypadków. Ten obrót przewidzieć trudno nawet kompetentnym, z boku stojącym obserwatorom; tembardziej zawodne są przewidywania, wyrosłe w zakątkach, od świata odciętych, oparte na bardzo szczupłym materyale faktycznym. Nic dziwnego, że one zawodzą, bo w nich zamiast faktów zbyt wiele znaczy *der Wunsch, Vater des Gedenkens*. J.

* * *

Wiadomości geograficzno-polityczne, szerzone przez najpoważniejsze nawet pisma niemieckie, dotyczące Polski i Rusi, dalekie są zazwyczaj od dokładności. Możnaby coprawda tłómaczyć te błędy nieznajomością stosunków; ale niestety widać w tem wszystkiem jaskrawą tendencyjność, widać metodę w urabianiu opinii w pewnym kierunku. Jeden z ostatnich numerów *„Berliner Tagblattu"* dostarcza pod tym względem charakterystycznego przykładu. Jest tam opis Kowla, pióra „specyalnego sprawozdawcy" Arnolda Höllriegla. Na wstępie tego artykułu pisze autor ze zdziwieniem: „Nawet na Wołyniu mają miasta wyższą kulturę i historyę" (przypuszczał zapewne, że historya i kultura zaczyna się dopiero od przyjazdu jego i jemu podobnych); w Łucku, w Dubnie mieszkały dostatnio ubiegłe wieki, od starego książęcego miasta Włodzimierza, wywodzi Austryacka Ukraina jeszcze dzisiaj nazwę Lodomeryi...

Można pominąć milczeniem taką nieznajomość historyi, której zdaje się dowodzić historyczna wzmianka. Bardziej zwraca uwagę termin: „Austryacka Ukraina", której ma przypadać nazwa „Lodomeryi". Niewygodnie jest mówić o Galicyi wschodniej,

bo Galicya już jako całość ma swój określony charakter. Dlatego puszcza się w obieg termin: Lodomerya, jakgdyby ten tytuł dotyczył więcej wschodniej niż zachodniej Galicyi. Czytelnik niemiecki słyszał dotychczas o Ukrainie pod rosyjskiem panowaniem, która miała porwać się do walki zaraz po wkroczeniu wojsk sprzymierzonych. Dzisiaj jednak ucichły już wieści o tej wielkiej Ukrainie, której przybywało po milionie ludności niemal z każdym tygodniem, natomiast przenosi się bliżej to określenie, i oto mamy: *„österreichische Ukraina“*. W każdym razie już jeden warunek żądań ukraińskich spełniony: istnieje już nazwa Lodomeryi dla nowej prowincyi. Usunięta już jedna trudność, szkoda tylko, że nie najważniejsza.

* * *

Ciekawa dyskusya toczy się między ludźmi i organizacyami, którzy i które zajmują się czynnie polityką chwili. — N. K. N. jest za „państwowością“ bez akcesoryów, tęże samą państwowość, ale z domieszką niepodległości wyznaje L. P. P., zupełnej niepodległości hołduje C. K. N., choć organ P. P. S. w Królestwie „Do Czynu“, a więc organ części tegoż komitetu obdarza C. K. N. nazwą „kompromisowego“, — K. P. P. pożąda armii, a przeczuwając szybkie jej zaistnienie, nieomieszkuje wypowiedzieć czemprędzej wojny Rumunii... i innym polskim stronnictwom. Wszyscy chcą wojny, armii, państwa, a będąc dosyć rzeźkiego temperamentu nie zoczyli nawet, jak bez państwa i armii znaleźli się już w odmętach wojennej wrzawy. Na razie przecież, widocznie dla nabycia experyencyi bitewnej, wojna toczy się we własnej zagrodzie o pomyślenia i taktykę. Mamy więc wiece, odezwy, broszury, artykuły. Wytacza się maksymalne i minimalne programy, określające zasadnicze stanowiska. Telegramów z odwrotnemi odpowiedziami, memoryałów, próśb, groźnych *„memento“*, misyi, scysyi dymisyi, nawoływań do frontowych godności, horoskopów, urlopów, a przedewszystkiem zgiełku nie braknie. Każdy dzień niemal przynosi nam w tym względzie nowe senzacye.

W czasach spokojniejszych miałyby może podobne sensacye sens głębszy i świadczyłyby, w najlepszym naturalnie dla nich wypadku, o barwności życia intelektualnego, dziś składają się na obraz dziwnego pomieszania. Gdy najpotężniejsze narody i państwa, trzęsące światem, posiadające olbrzymie armie i niewyczer-

pane jeszcze środki, karcą u siebie każdy niepożądany objaw indywidualizmu, choć zdaje się mogłyby sobie bez obawy pozwolić na pobłażliwość wobec „gadaczy“, — gdy obowiązek wewnętrznego spokoju podniesiono prawie do godności kardynalnego prawa — na terenie życia polskiego, życia nieobfitującego w zbytnie powodzenie, rozlega się hałas i klekot. Jest to tem charakterystyczniejsze, że kłótnie i spory wiedzie jeden i ten sam obóz myślowy i ludzie, których wspólnym wysiłkiem powstały pewne realne objawy politycznej ich wiedzy, woli i siły. Dwa lata temu stanowili jedną zwartą linię, która grzmiała oburzeniem na wszystkich niezupełnie przekonanych o owocności programu. Po dwu latach samych powodzeń, literalnie bez rywala politycznego, któryby usiłował sięgnąć po berło zdobytej władzy, przy dużej względnie ofiarności na cele i instytucye z programem tym związane i przy poparciu licznej stałej i *ad hoc* stworzonej prasy, po tylu mowach głoszących zgodę i jedność, po entuzyastycznych bankietach — zespół działaczy, zamiast coraz trwalej się zespalać — uważa obecne chwile za najbardziej stosowne do metafizycznej analizy. Wczorajsi heroldowie N. K. Nu na gruncie galicyjskiego Piemontu mówią dziś z przekąsem o N. K. Nie w Królestwie, nie chcą słyszeć o jego zasługach i własną swą niedawnej przeszłości galicyjską działalność w czarnych malują barwach przed narodem, wszystkie n. b. zalety N. K. N. przypisując skromnie innym. Organy dzierżące dotychczas niezłomnie sztandar niepodległości, tłómaczą dziś ludziskom *ad oculos*, że „niepodległość“ to frazes, rzecz sama w sobie nie wiele warta, a dowodząca jedynie upierania się przy słowach. Stąd pogrobowcy niedalekiej przeszłością rewolucyi, w dalekich gustując przyrównaniach, Leonidasowemi straszą Termopilami. Inni znów ze starym, a dziś nowoodnalezionym heroizmem uderzają w konspiracyę, jako źródło niepowodzeń i chybionych zamysłów. I tak dalej i dalej... poczynając od filozoficznych kategoryi — a kończąc na prozie w guście pomawiań o „zgubne machinacye“ lub „zdradę“, „znikczemnienie“ i „niewolnicze instynkty“.

I przychodzi zapytać: Co takiego się stało, że nagle dziś, bez żadnego istotnego powodu, w miejsce tryalogów i dyalogów politycznych, tak zdało się, już, już prawie na monolog szczęśliwie zakrawających, zjawia się zgrzyt dyskusyi iście dekalogicznej? Skąd z jednego obozu aż dziesięć gniewnych wyrosło i czemu, skoro jeden cel i jedną dążność piastują, uważają za konieczne

przeszkadzać sobie w chwili realizacyi programu? Czy aby między bliskimi nie zaszła jaka pomyłka, jakieś tak zresztą popularne u współczesnych, niedotrzymanie umów, czy może, mówiąc zrozumiałym w Galicyi językiem, przyszła już pora na rozdział zysków? Wszak wojna jeszcze trwa, wszak mimo uchwał wiecowych rzeczywistość idzie swoją twardą i krwawą drogą, wszak wszędzie naokół niema jeszcze nic do zbierania.

Nie poddając rozbiorom uczuć dzisiejszych szermierzy, bo rzeczy te wymagałyby dłuższej oceny, a zresztą byłyby już poniekąd bezprzedmiotowe, godzi się jednak zauważyć, że taktyka obrana przez rozanimowane umysły, ostrzem swoim kieruje się nietylko przeciw nim samym, ale także szkodzić może i sprawie ogólnej. Europa, a z nią świat cały, z wolą czy bez woli, interesuje się między innemi przyszłością Polski. Podczas wojny uwypuklił się międzynarodowy charakter polskiego problemu i coraz częściej się słyszy, jak w sprawie naszej padają słowa z mównic parlamentarnych ze strony rządów czy reprezentantów społeczeństw. I choć niewiadomo jeszcze, kiedy ją przyjdzie rozwiązywać, to jedno jest pewnem, że szacunku i powagi nie zdobywa się nigdy najgłośniejszem choćby uchwalaniem nielogicznych rezolucyi, ani też bezpłodną dyskusyą o wyrażeniach, których znaczenia się nie rozumie. Jedną z najbardziej skutecznych broni przeciw wszelkiej ludzkiej myśli jest naiwne traktowanie jej przez samego autora — broni tej nie powinno się wręczać lekkomyślnie obojętnym, postronnym lub wrogom.

— Powrót do metod politycznych „Komisyi Tymczasowej“, która znanym ongiś memoryałem do kongresu ambasadorów w Londynie zdawała tak niedwuznacznie egzamin z dyplomatyczno-historycznej świadomości, niekoniecznie dobrem jest wyjściem z trudnej sytuacyi.

* * *

O ile w pierwszym roku wojny w popularnej opinii szerokich sfer i równie szerokiej, drukiem tłoczonej famy galicyjskiej rozlegały się same prawie wyroki „sprawiedliwego“ osądu odnośnie do zaboru rosyjskiego i gdy zewsząd zbierano chętnie każdy, najbanalniejszy nawet drobiazg do ogólnego oskarżenia, a wstrętnej w swoim „serwilizmie“ Warszawie wzniesiono, dużym politycznym wysiłkiem Galicyi, pomnik godny zaiste sławy Herostrata —

wiemy, że od czasu włączenia całego terenu Królestwa kongresowego w sferę okupacyi państw centralnych — opinia pewnych sfer w Galicyi przebyła oczyszczające wewnętrzne przesilenie.

Jak się to stało, czy Warszawa rzeczywiście zdołała zaimponować Galicyi swoją wstrzemięźliwością, czy umiała siłą organizacyjną wprowadzić „potępicieli" w zdumienie — dość, że ostrza krytyki mocno stępione już w pierwszych chwilach ubiegłego roku, w ciągu tygodni przybrały nieledwie wyraz oklepanych „souvenirów", przeznaczonych do „pamiętnika poznanej". Jak wszelkie pierwsze chwile, miały i te pierwiosnki swoje poetyczne nastroje, w których niejedno się wybacza, o tem i owem mimowolnie się zamilcza. Warszawa nagle stała się piękną, silną, mądrą, wreszcie — tu punkt najczulszy — wpływową. Wpływową dwojako: raz w całym kraju i to nietylko tym okrojonym sławetnemi postanowieniami wiedeńskiego kongresu, którego zacieśnione terytoryum u pewnych ludzi przyobleka się dziś w kształty jakiegoś ideału, ale zarazem wpływową zewnętrznie, to znaczy słuchaną *„in externis"* z większą skwapliwością niż słuchane bywają i bywały inne, zaściankowe trybuny.

Ludzie szybko oryentujący się wysnuli z tego stanu rzeczy wnioski, jakim, biorąc pod uwagę charakter ich usiłowań, dziwić się nie można. Coś, co nie miało łaski w ich oczach, gdy było nieuchwytne, a co zdobyło sobie drogą wypadków, słusznie czy niesłusznie, procentujący się kapitał, należy nietylko uznać („realnie" myślący zawsze uznają siłę), ale nawet nieposkąpić trudu dla dorobienia pewnej reklamy nieosobowemu autorytetowi. A autorytet ma swoje znaczenie, czasami można nim dobrze sugestyonować, rzucać nim tam, gdzie podatna psychologia mas, nie znając dobrze przyszłych skutków, łatwo przyjmie podmiot zewnętrzny, lub w jego ramach podaną nazwę, albo wprost hasło, zawołanie za wartość istotną. I trzeba przyznać słuszność logicznemu założeniu zamiarów. Im większy bowiem będzie ów autorytet Warszawy, im silniej wdroży się w umysły przeświadczenie, że za wałem ochronnym jej rozsądku i serca można spać spokojnie, będąc pewnym jutra, im więcej znieczuli się miary i wagi słusznej oceny, tem łatwiej potem przyjdzie wziąć na przynętę okrzyczanego autorytetu masy.

Często więc spotykać się przychodzi z próbami lokowania mniej wartościowych oszczędności prywatnych w cieszącym się

ogólną opinią powszechnym banku. Kukułczość tych objawów aż nadto wyraźna.

Warszawa, a z nią olbrzymia połać ziem Rzeczypospolitej pozbyła się tłumiącej ją wschodniej przemocy — a wiedząc, że zapasy, wskutek których znalazła się po innej stronie frontu, toczą się nie o jej piękne oczy, zachowała równowagę umysłu. Sądzić też można, że jakieś jej entuzyazmy i szerokie giesty w tej chwili i z tego powodu nienaturalnością swoją nawet samych przybyszów byłyby zdolne razić. Ale taż sama Warszawa, pomna przeszłości i wiążąc ją z nieziszczalną nadzieją, ma prawo wedle swej chęci hołd oddać wielkiej przodków zasłudze. I widzieliśmy ją w dniu rocznicy konstytucyi majowej, widzieliśmy w szeregu aktów kulturalnego i społecznego życia, jak w święcie czy dniu powszednim łączyć umiała uczucie z rozumem. To, że ze stolicy mogliśmy być dumni, nieraz już w chwilach przełomów dzisiejszych zdrową gotowało nam otuchę.

Na niewczesne zamiary, by na czynach jej i zachowaniu wycisnąć partyjną markę, nie znaleziono przecież nawet w Warszawie dość silnego odczynnika. To też, mimo szczęśliwie naogół nieudatnych wysiłków tubylczych czy tranzytowych przedsiębiorców, częstokroć jesteśmy świadkami jak życie Warszawy obfitować zaczyna w kontrasty. Boć nie inaczej odczuwa się jałowe zaczątki pseudo-politycznych dyskusyi na posiedzeniach rady miejskiej, albo starania, by przy sposobności każdego narodowego obchodu stworzyć trybuny dla przejezdnych agitatorów. Wśród innych szczególnie jeden fakt musiał uderzyć, bo właściwością swego przeciwstawienia jest niejako ukoronowaniem formy.

Na stokach cytadeli warszawskiej, na miejscu stracenia Romualda Traugutta i towarzyszących ma w udziale śmierci współpracowników, postawiono krzyż. Krzyż skromny uwito zielenią, a pod znakiem męczeństwa wodza ostatniego powstania stanęła skupiona Warszawa. Ktoś z ludzi tamtejszego pokolenia, uczestnik wypadków lat 60-tych przemawiał. I choć nie znamy treści jego słów, domyślać się mamy prawo, że mówił co czuł, co czuli wszyscy, a co on drugi raz zapewne w jestestwie swem przeżywał. Kto jak kto, to on był tam wówczas najstosowniejszy. Ale jak mówił, przecież nie wiemy. Wiemy natomiast, co mówił pod krzyżem krakowski mówca z b. „Tatersaalu“ pod Kapucynami, wiemy nawet dokładnie, jak przytem wyglądał, bo nie jedną lecz trzy naraz jego

pozy uwieczniono okolicznościowo w warszawskich pismach obrazkowych. Czy kontrast nie za słaby? I czy krzyż i ów powstaniec nie wyglądają czasem na dekoracyę jeno dla właściwych aktorów?

Różne zachodzą wypadki i różne możnaby przytaczać przykłady. A i to dodać potrzeba. Rozróżniać nie zawsze i wszędzie łatwem jest zadaniem, jednakże bezwątpienia opinia, o którą chodzi, potrafi jeszcze rozeznać Warszawę od Warszawy, a więc i w Warszawie i przez nią stwarzane autorytety.

* *
*

Powołana na nowo do życia krakowska rada miejska zdołała na chwilę oderwać uwagę opinii od jej codziennych atrakcyjnych tematów. Oderwała ją przecież w sposób tak bezceremonialny, tak drażniący, że nawet stary poczciwy Kraków, który wiele znieść potrafi i do wielu nieprawdopodobieństw był już tradycyjnie przyzwyczajony, tym razem zawiódł oczekiwania. To też zarówno autorzy projektów jak i wykonawcy, a przedewszystkiem bezpośrednio w sprawie emerytalnej interesowani zareagowali na głos opinii zgoła bez tego znamionującego ich dotąd chłodnego nieliczenia się z względami publicznej kontroli. I jakkolwiek reakcya ich — wybredną nazwać jej nie można — nie zdradza wcale zrozumienia wniosków wysuniętych przez opinię — to skutek krytyki, mimo niewdzięczności samego tematu, należy zapisać jako poważny wyłom w panujących w Krakowie stosunkach. Samorzutna opinia dokonała więcej niż dotychczasowe niejednokrotnie organizowane wysiłki, a jak na Kraków, to wcale nie mało i daje już rękojmię, że w sprawie uzdrowienia atmosfery działać i tutaj można z dodatnim wynikiem. Przekonano się bowiem, że i tutaj są granice, których bezkarnie przekraczać nie wolno, choćby się było formalnie wszelkiego rodzaju murem chińskim oddzielonym od pożądanych co trzy lata wyborców, że przeciąganie struny cierpliwości grozić może wyczerpaniem jej u drugich.

Zatrzymując się koło sprawy uchwał krakowskiej rady, nie można oprzeć się uwadze, że w całem jej ujęciu i przeprowadzeniu tak ze strony prezydyum, większości dzisiejszej, a nawet części opozycyi uderza coś wybitnie obcego, coś, co od pierwszej chwili odcina się od pojęć naszej kultury i psychologii. Jest to ów posmak dyplomatyczny. Wniesiono sprawę niejako chyłkiem pod obrady, uważając, że pośpiech zapewni niepostrzeżone przemycenie

uchwały. W chwili krytyki właściwej opozycyi, większość umiała tylko milczeć. Opozycya demokratyczna traktowała rzecz z wysokości szczudeł, choć trudną tę rolę uprawiała w pozycyi klęczącej, prośbom nadawszy ton pseudo-Kassandry: „W chwili dla całego narodu“..- brzmiały podniosłe słowa jej skargi.

Przy drugim akcie nie brakło już momentów wprost zabawnych. Radca Daszyński, silący się wmówić w słuchaczy, że jest wiecznym opozycyonistą, domyślenie się po czterech bodaj latach przez demokracyę, że jej delegat u boku prezydyum nie miał tam żadnego znaczenia, nagłe i nieoczekiwane szukanie zasadniczych pobudek i skwapliwość, z jaką licytowano się w uznaniu opinii, odsłoniły jeszcze raz tę sztuczną sceneryę, w ramach której Kraków dusi się od czasu, jak został „wielkim“. Charakter polski, jakikolwiekby on zresztą był, zwykł wypowiadać się ze szczerością, występować z otwartym czołem — i to stanowi jedną z zasadniczych jego cech odróżniających, jego indywidualizm.

Są sztuki napisane nawet ze sprytem, ale znać na nich, że autor nie tworzył lecz mozolił się pracą i ludzi dał papierowych. Najlepsi wówczas artyści nie naprawią oryginału. Widownia musi być niezadowolona.

Bądź co bądź krytycyzm się obudził, zatoczył także szersze kręgi niż oczekiwano. Do jedynego pisma w Krakowie, którę dało wyraz opinii, przyłączyło się dalekie echo kraju, przygodnie znalazła się w tym samym obozie z czasem i cała prawie prasa krakowska. Z czasem, ale nie z „Czasem“, bo ten umie być wierny tradycyi...

*
*   *

Galicyjski Prometeusz.

Co ma robić oficer w zimie w czasie nudnych miesięcy walki pozycyjnej? Czem się zająć w kancelaryi etapowej po spełnieniu obowiązków służbowych? Oczywiście: kto lubi karty, gra w karty, kto ma książki, ten czyta, kto ma narzeczoną albo wielu przyjaciół, ten namiętnie pisze kartki polowe, kto zaś nie pisuje listów, a ma wenę i nakładcę, ten pisuje artykuły wojenne i wydaje całe książki „wrażeń“, pomnażając literaturę wojenną.

Literatura ta rośnie, jest chciwie czytywana, ma swoje zalety i wady. Jedną z jej cech jest naogół n a d m i a r f a n t a z y i w tych utworach, które są pisane z talentem, te bowiem powstają zwykle

poza frontem, a braki autopsyi uzupełniają obficie fantazyą; z drugiej strony w utworach pochodzących z frontu uderza nieraz płytkość sądu przy szeregowaniu całego tłumu wrażeń, pozbieranych bez braku, uderza suchy, bezbarwny styl opowiadających. Nic dziwnego, bo *inter arma silent Musae*. Rzadko bardzo zdarza się połączenie talentu narracyjnego z istotną objektywnością.

Nieszczęście chciało, że właśnie nasza ziemia jest terenem nietylko walk wojennych, ale i tych harców stylistycznych, wyprawianych przez rozmaitych panów, którzy niedawno odkrywszy w sobie iskrę talentu, demonstrują ją na sprawie polskiej, jak na króliku doświadczalnym. Na podstawie przelotnych zupełnie wrażeń ustala się o Polsce mnóstwo sądów, polegających na niedbałej obserwacyi naszej kultury, obyczajów, upodobań i charakteru narodowego. Niektóre z tych opinii nie są nam nawet szkodliwe, a tylko wywołują na usta nasze uśmiech szczerego zdziwienia wobec tych *sui generis* badań ludoznawczych.

Poniżej cytujemy za wiedeńską „*Reichspost*" charakterystyczną opinię o mieszkańcach Galicyi, wyszłą z pod pióra Niemca, p. Józefa Burgera, który jako porucznik strzelców tyrolskich zapoznał się z naszym krajem i wydał książkę, zawierającą opis wrażeń wojennych. Oto co pisze p. Burger:

„Z pośród wszystkich tych rozmaitych ludów, które w czasie wojny miałem sposobność poznać mniej lub więcej dokładnie, żaden mi nie zaimponował tak dalece jak ukraiński... Sympatyę moją zyskał on jednak szczególnie dzięki swemu silnemu, wprost przelewającemu się temperamentowi. Prawie wszędzie, przy wszystkich osobnikach różnych ludów trafiałem na zupełny brak temperamentu. Zdawało się jakby zupełnie przymarzł ocean tych dusz ludowych. Nic nie potrafi ich wyrwać z apatyi i wytworzyć burzących się fal. Zwierciadło pozostaje zawsze gładkiem. Galicyjski Prometeusz, gdyby go bogowie przykuli do skał, musiałby być istotnie postacią litość budzącą. Cicho i z uległością kurczyłby się on, pochyliwszy głowę i może czasami z westchnieniem oglądałby swoje kajdany. Ale Prometeusz ukraiński! Ha! Ten musiałby jak szalony targać łańcuchami, póki nie pękłyby albo łańcuchy albo jego własne członki".

Oto próbka charakterystyki narodowości, zamieszkujących Galicyę (bo te tylko ma autor w danym wypadku na myśli): nędzny, niedołężny „Galicyanin" i dumny Prometyda — Ukrainiec.

Nie zazdrościmy bynajmniej naszym ruskim sąsiadom tych słów uznania, które dla nich zresztą na łamach „*Reichspostu*“ naogół nie są bynajmniej niespodzianką. Ale dalibóg, takiej charakterystyki Rusinów jako ognistych Prometydów i przeciwstawienia ich niedołężnym „Galicyanom“, takiego zestawienia bodaj że sam nawet p. Kość Lewicki nie byłby wymyślił!

*
* *

Non multum — sed multa, zasada starorzymska na wspak obrócona: oto co musi przyjść na myśl każdemu, kto zadał sobie trud wpatrzenia się w kalejdoskop wydawnictw N. K. N. Co za kolosalna produkcya w tych ciężkich czasach, w czasach braku papieru i drożyzny czernidła drukarskiego. Strategia i polityka, poezya i ekonomia, dzienniki i jednodniówki, tygodniki z obrazkami i bez, pisma dla Węgrów i dla Niemców, dla żydów i dla Bułgarów, dla mężczyzn i białychgłów, ba dla dzieci nawet! Szerer i Janik, Przybyszewski i Eile, Feldman i ks. Bandurski, Biegeleisen i Straszewski, Goldscheider i Rydel... Nieraz przychodzi nam na myśl, że jeśli zaświta Polsce kiedy lepsza przyszłość, a N. K. N. stanie się zawiązkiem jakiegoś przyszłego koalicyjnego gabinetu, to pierwszą instytucyą publiczną, stworzoną przez owo ministeryum, będzie chyba jakaś olbrzymia rządowa księgarnia...

Rozumiemy doskonale, że N. K. N. wytworzyło pewną ideologię, która wymaga propagandy drukiem. Rozumiemy, że chodzi nie tylko o to, by przekonać oziębłych jeszcze miejscami rodaków o wyłącznej słuszności danej idei, ale że trzeba dla tej idei pozyskać zagranicę, rozumiemy, że jedni dziś chcą walczyć bagnetem, inni znów piórem, rozumiemy w końcu, że program N. K. N. jest bardzo obszerny. Zwłaszcza ponieważ cała instytucya jest koalicyą szeregu partyi galicyjskich, więc około wspólnego zasadniczego pnia ideowego wije się niby bujny powój, splot najróżniejszych interesów poszczególnych partyi i kieszeni, stanów i klas, splot potrzeb różnych chwil dziejowych, różnych kas i różnych ras nawet. Jeśli N. K. N. wydaje mowy i mówki p. Jaworskiego, to z równą słusznością może przedrukować arcyciekawe artykuły p. Srokowskiego z Reformy. Ale dlaczego w takim razie nie ma się wypowiedzieć także p. Angermann z racyi przynależności do ludowców? Tu gdzie się popisuje wiadomościami ekonomicznemi

powściągliwy Dr. Mieczysław Szerer, który tak trafnie umie unikać t. zw. tematów wstydliwych w rodzaju ks. Poznańskiego, dlaczegoż nie miałby sobie użyć niezmordowany Dr. Max Goldscheider, z pod którego pióra leje się nieprzerwany strumień erudycyi w rzeczach polskich i wpada z niechybną regularnością pomiędzy szare okładki „*Polen*". Na tak podatnym terenie dlaczego obiecujący sierżant Dr. Biegeleisen nie miałby wystawić swojej świątyni stosowanej czy stylizowanej ekonomii?

W gruncie rzeczy sprawa polska dzisiaj tak stoi, że nikt nie wie, co jej się przydać może. *Sub specie* szerzej ujętej sprawy polskiej przydadzą się może nawet piękne ballady p. Edwarda Leszczyńskiego, niedawno właśnie wydane nakładem N. K. N. Wszystko to prawda. Ale wobec tej chwalebnej dążności ogarnięcia wszystkich dziedzin życia narodowego i skupienia pod sztandarem N. K. N. wszystkich piór ochotnych i wszystkich, potrzebujących chwilami pieniędzy, instytucye wydawnicze N. K. N. żywo przypominają — omnibusy, co to kursują często, ale jeździć nimi może każdy kto chce, kiedy chce, jak długo chce i za bardzo tanią cenę, byle mniej więcej jechał w tym kierunku, w którym kursują wozy spółki omnibusowej.

Mówiąc seryo, sądzimy, że trzeba się raz zdecydować: albo się pisze i drukuje dla dobra narodu, albo dla przyjemności ciasnego kółka wielbicieli; albo się coś czyni dla idei, albo dla zysku księgarskiego.

Kombinacya tych dwu czynników udaje się czasem, ale czasem znów — bywa konieczną.

Sprawozdania.

Dr. Oskar Ritter von Halecki, Privatdocent an der Jagiell. Universität in Krakau: *Das Nationalitätenproblem im alten Polen*. Krakau 1916. Zentral-Verlagsbureau des Polnischen Obersten Nationalkomitees; str. 104.

Celem niniejszej pracy jest sprostować błędne mniemania, rozsiewane wśród niemieckiej publiki o rzekomym ucisku obcych narodowości, jaki miał miejsce w Rzeczypospolitej polskiej Autor widzi w tem zagadnieniu oprócz strony politycznej jeszcze stronę etyczną i stronę naukową (str. 10), przyczem przez stronę naukową zdaje się rozumieć historyczną podstawę zagadnienia, tak jakby jedynie historyczne badanie kwestyi narodowościowych mogło mieć charakter naukowy, a etyka była go pozbawioną.

Do przedstawienia historycznej strony zagadnienia był Dr. Halecki, znany już zaszczytnie z wielu gruntownych prac historycznych, doskonale przygotowany, i czytelnicy jego broszury w Niemczech, ci przynajmniej, którzy są dobrej woli, będą mieli znakomitą sposobność dowiedzieć się, ile prawdy jest w opowiadaniach o strasznym ucisku narodowościowym w dawnej Polsce, szczególniej w takich epizodach historycznych, jak powstanie Świdrygiełły, zdrada Glińskiego, bunty kozackie w XVII. i hajdamackie w XVIII. wieku. Znajdą oni tam również dobre przedstawienie prawnego stanowiska, jakiem się różne narodowości w Polsce cieszyły i tego powolnego procesu polonizacyi, który żadnych cech ucisku w sobie nie miał.

Nie można jednak się zgodzić na sposób, w jaki autor przedstawia genezę dzisiejszego nacyonalizmu, wyprowadzając go z Rewolucyi francuskiej. Ta ostatnia była z ducha swego antynacyonalistyczna, kult wolności stawiała wyżej od kultu ojczyzny w myśl hasła, które z niej wyrosło: *„ubi libertas, ibi patria“*. Patryotyzm narodowy chciała zastąpić patryotyzmem ogólnoludzkim, któryby łączył w jedną ojczyznę duchową wszystkich wyznawców „nieśmiertelnych zasad 1789 roku“, a hasła te łatwo się rozeszły po świecie, zwalniały bowiem od ścisłych obowiązków względem swego narodu, nie nakładając żadnych innych obowiązków oprócz czczych frazesów humanitarnych. Otóż przeciw temu humanitaryzmowi z rewolucyi francuskiej wynikłemu, musiała z czasem powstać reakcya: nacyonalizm stał się tym zdrowym odruchem sumienia ludzkiego, które znudzone humanitarną gadaniną, wraca do uznania zaniedbanych obowiązków narodowych.

Błędne przedstawienie genezy dzisiejszego nacyonalizmu pochodzi zresztą u Dra Haleckiego z niedoceniania etycznej strony życia narodowego i wypływających z niego obowiązków. W broszurze jego spotykamy się przeważnie z terminem „*Nationalgefühl*", jakby stosunek jednostki do narodu nie przekraczał dziedziny uczuć. Daje on nam zresztą ścisłe określenie tego, co przez uczucie narodowe rozumie: „*Das Nationalgefühl im heutigen Sinne,* czytamy na str. 28, *besteht in dem Bewusstsein, mit einer bestimmten Gruppe von Mitmenschen Sprache, Kultur und historisch-politische Traditionen gemeinsam zu haben und sich in eben diesen Punkten von anderen ähnlich aufgebauten Gruppen zu unterscheiden*". Z tak pojętej łączności narodowej żadnych ścisłych obowiązków wyprowadzić się nie da, wartość jej moralna i wychowawcza sprowadza się do wzbudzania szlachetnych uczuć, o których poeci piękne wiersze będą pisać, ale za podstawę do wychowania silnych charakterów nie będzie mogła służyć, ani stać się punktem wyjścia jednolitej polityki narodowej.

Niemcy nie przypisują uczuciom wielkiej roli w rozstrzyganiu zagadnień narodowych, donioślejsze znaczenie mają dla nich *nationale Pflichten* niż *nationale Gefühle.* Przedstawianie nas zatem w broszurze dla Niemców przeznaczonej jako ludzi, którzy życie narodowe ograniczają do sfery uczuć, zasługuje na stanowczy protest; może ono bowiem utrwalić tylko o nas opinię, że jesteśmy romantykami w polityce czyli „*eine minderwertige Nation*". Jednocześnie jest to złe informowanie publiki niemieckiej o naszych nastrojach; coraz bardziej bowiem w Polsce rozpowszechnia się przekonanie, że życie narodowe żąda od jednostki więcej niż pewnego poczucia łączności z rodakami i szlachetnych dla nich uczuć, że wkłada natomiast na nią szereg obowiązków, sięgających głęboko w jej życie moralne, żądających od każdego wiele ofiar, ale i będących dla niego najbogatszem w dziedzinie przyrodzonej źródłem żywotnych sił moralnych.

A. W.

* * *

X. Dr. Julian Gołąb: *Pogrzeb króla Zygmunta Starego.* Nakładem Funduszu naukowego. Kraków 1916, str. 48.

Znany ze swych studyów nad przygotowaniami do Soboru Trydenckiego w Polsce, ks. Gołąb, archiwista kapituły katedralnej w Krakowie, daje nam w tej niewielkiej objętością pracy sporo bardzo ciekawych szczegółów o pogrzebie wielkiego króla. Z zestawienia wielu dokumentów i opowiadań współczesnych, po części już znanych, po części zaś świeżo wydobytych na światło dzienne, wynika ciekawy obraz z życia XVI. wieku i to w chwili tak ważnej, jak zmiana panującego. Autor daje nam *in extenso* niedrukowany dotąd ceremoniał pogrzebowy, ułożony przez biskupa Maciejowskiego; ceremoniał ten przyjął się na stałe i nim się posługiwano przy następnych pogrzebach Zygmunta Augusta i Stefana Batorego. Mamy następnie w dwóch wersyach, łacińskiej i polskiej, opis samych uroczystości pogrzebowych, które zaczęły się 25. lipca i trwały trzy dni. Publikacyę zamyka spis źródeł, na których opis pogrzebu się opiera i ciekawy list w polskim języku, w którym naoczny świadek daje interesujące szczegóły o ostatnich chwilach króla i o przebiegu uroczystości pogrzebowych. *A. W.*

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, ul. Mikołajska 13
pod zarządem A. Szyjewskiego.